MIESIĘCZNIK DLA RODZIN KATOLICKICH
KWIECIEŃ
1950 • ROK • V



POD OPIEKA ŚW. JÓZEFA

Wszystkim Naszym Czytelnikom i Czcicielom św. Józefa przesyłamy najserdeczniejsze życzenia

„Wesołych Świąt",

przepełnionych radością chrześcijańską.

Kalendarz Liturgiczny na miesiąc kwiecień

Intencja: Modlitwa o pomnożenie wiary w sercach ludzkich.

1. Sobota. Ś. Hugona W. (Nabożeństwo do Niepokalanego Serca NMP.).
2. **Niedziela Palmowa.** św. Franciszka z Pauli W.
3. Poniedziałek Św. Ryszarda B.
4. Wtorek. Św. Izydora B. W. DK.
5. Środa. Św. Wincentego Fereryusza W.
6. W. Czwartek. Wieczerza Pańska — I kl. — Ś. Piotra M.
7. W. Piątek. Męka i śmierć Pana Jezusa. — I kl. Epifaniusza B.
8. W. Sobota. — I kl. — Św. Armanc-jusza B. W.
9. **Niedziela Zmartwychwstania P. Jezusa.** — I kl. — Św. Marii Kleofasowej.
10. **Poniedziałek Świąteczny.** — I kl. — Ś. Ezechiela Proroka.
11. Wtorek Świąteczny. — I kl. Ś. Leona I. Pp. W. DK.
12. Środa Ś. Juliusza I Pp. W.
13. Czwartek. Ś. Hermenegilda M.
14. Piątek. ŚŚ. Justyna, Tyburego, Maksyma i Waleriana Mm.
15. Sobota. ŚŚ. Bazylisy i Anastazji Mm.
16. **Niedziela 1. po Wikn. Biała** Ś. Benedykta Józefa Sabre W.
17. Poniedziałek. Ś. Aniceta Pp. M. Rudolfa.
18. Wtorek. Bł. Marii od Wcielenia Wd. Zak. Karmel., Św. Apoloniusza.
19. Środa. Ś. Leona IX Pp. W.
20. Czwartek. Ś. Wiktora M.
21. Piątek. Ś. Anzelma BW. DK.
22. Sobota. ŚŚ. Sotera i Kajusa Mm.
23. **Niedziela 2 po Wikn.** Ś. Wojciecha BM., — II kl., Ś. Jerzego M.
24. Poniedziałek. Ś. Fidelisa z Sigm. M.
25. Wtorek. Ś. Marka Ewangelisty — II kl.
26. Środa. Opieki św. Józefa. — I kl. ŚŚ. Kleta i Marcelina Ppp. Mm.
27. Czwartek. Ś. Piotra Kanizjusza W. DK.
28. Piątek. Ś. Pawła od Krzyża W.
29. Sobota. Ś. Piotra M.
30. **Niedziela 3 po Wikn.** Ś. Katarzyny Seneńskiej P. (Uroczystość zewnętrzna Opieki św. Józefa).

Nr 4 KWIECIEŃ 1950 Rok V



POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA

Mąż Sprawiedliwy

„A Józef... będąc sprawiedliwym...“ (Mt. I. 19)

Według wyrażenia Pisma świętego, „sprawiedliwy“ znaczy tyle co święty. Był nim św. Józef w całej pełni. — Na czym polegała świętość Jego i jak doszedł św. Józef do nabycia jej w całej pełni rozważmy to w niniejszym artykule.

W tym czasie kiedy żył św. Józef, religia żydowska chyliła się ku upadkowi i obyczaje były w stanie opłakanym.

Część żydów była zatroskana przede wszystkim o swoje doczesne powodzenie. Utrzymując zażyłe stosunki z narodami pogańskimi, ubiegając się o ich możną protekcję popadali coraz bardziej w rozwiązłość obyczajów, mając na oku jedynie zaspokojenie zmysłów. Aczkolwiek zachowali jeszcze odrobinę wiary w Boga Stworzyciela, to jednak odmawiali Mu rządów nad światem przez Niego stworzonym, odrzucając wiarę w nieśmiertelność duszy i ciała zmartwychwstanie. — Dla nich Mesjasz nie był potrzebny, pragnęli jedynie możnego władcy, Pana, który obsypywałby ich dobrem doczesnym.

Inna część żydów była wierna starym prawom, jednak przez ciasnotę umysłu, przez nienawiść dla cudzoziemców, przez pychę rasową, zniekształciła religię Jahwy. Skrupulatni w zachowaniu prawa trzymali się litery, która zabija, a nie potrafili wniknąć w ducha, który ożywia. Praktykowali niezliczone zewnętrzne przepisy z punktualnością aż do śmieszności. Ci ostatni oczekiwali Mesjasza. Lecz cała ich nadzieja w Nim była jedynie przywiązana do tego, aby to był mąż bogaty, możny król i wojownik. Marzyli aby rozszerzył królestwo izraelskie, wypędził Rzymian i zapewnił im spokój, obfitość we wszelkich dobrach doczesnych, bogactwo ich kraju. Takiego Mesjasza pragnęli, oczekiwali, o takiego błagali, aby rychło się zjawił. Marzyli o potędze żydowskiej, która pod przewodnictwem wymarzonego króla-Mesjasza panowałaby nad innymi narodami.

Znikoma tylko część żydów potrafiła ustrzec się od tych błędnych pojęć. Zachowali tradycje ojców, umieli odróżniać zachcianki samolubne owych dwóch rodzajów żydów, zrozumieli prawdziwe znaczenie Pisma świętego, proroctwa świętych mężów i znajdowali tam obraz prawdziwego Mesjasza-Zbawiciela dusz i Zbawiciela wszystkich narodów. Oni odkryli pod symbolami, w które Pismo święte obfitowało, prawdziwe Oblicze przyjść mającego Zbawiciela świata, Baranka Bożego. Jego adorowali, o Jego rychłe przyjście błagali i przez życie święte przygotowywali się na Jego przyjście. — Pismo święte mówi nam o wielu z tych sprawiedliwych. Św. Józef należał właśnie do nich. Święty Mateusz wyraźnie mówi w Ewangelii św. (I. 19): „A Józef... będąc sprawiedliwym“...



Ale nie potrzebujemy nawet w tym wypadku świadectwa Ewangelii św. — Wybór przez samego Boga Odwiecznego św. Józefa na Opiekuna Syna Swego daje nam pewność ponad wszystkimi świadectwami, że właśnie On — św. Józef, był najsprawiedliwszym, najświętszym wśród wszystkich sprawiedliwych, że stał na szczycie doskonałości wymaganej przez Boga.

Św. Bernard powiada: „Można sobie wyobrazić w jakim wysokim stopniu posiadał św. Józef wszystkie cnoty, że zasłużył sobie nosić tytuł ojca Jezusa chociaż posiadał ten tytuł tylko w zastępstwie Ojca niebieskiego, jednak jak wielka była wierność i mądrość tego sługi Bożego, że Go Bóg ustanowił na karmiciela Słowa Odwiecznego, Słowa Wcielonego".

Bóg, który porządki natury ludzkiej cudownie zburzył w jedynym wypadku i uchylił prawo, które spadło po grzechu pierworodnym na wszystkie dzieci Adama, aby przygotować dla Syna Swego Niepokalaną Matkę, jak mógłby dać Jej innego stróża i żywiciela jeżeli nie męża doskonałego?

Postępował na drodze ku świętości krokiem olbrzyma, a osiągnął przez wierność łasce Bożej doskonałość w tak wysokim stopniu, iż stał się godnym być Ojcem-opiekunem Jezusa.

Zwykle wyobrażamy sobie świętych jako innego rodzaju stworzenia niż my jesteśmy. Myślimy, że oni się chyba takimi urodzili i świętość przez nich osiągnięta nic ich nie kosztowała, była darmo dana przez Boga. Jest to wielki błąd. Święci byli takimi samymi ludźmi jak my, podlegali tym samym pokusom, niedoskonałościom jak i my. Tylko oni umieli zwalczać w sobie wszystko to, czego my nie zwalczamy dość energicznie. Bo brak nam tej miłości ku Bogu, tej wierności w spełnianiu Woli Bożej, która świętych doprowadziła do doskonałości. Brak nam szukania Boga we wszystkim, czujności, aby nie wykroczyć przeciw Woli Bożej. — A jednak tylko ta walka wewnętrzna doprowadziła świętych do uzyskania ich świętości.

Św. Józef nieustannie czuwał, aby nie pominąć ani jednej chwili życia bez spełnienia przenajświętszej Woli Bożej. — A gdyby nie ta jego wierność w spełnianiu jej, czy nie mógłby wielokrotnie zachwiać się we wierze swej, kiedy po ludzku mówiąc, całkiem inaczej przedstawiała się ta Wola Boska, niż można było oczekiwać? Czy to wybraństwo Boże uchroniło Go może od twardego losu zwykłego, ciężko pracującego rzemieślnika? Czy opływał w dostatki i cudownie został karmiony wraz z Najczystszą Oblubienicą swą i Dzieciątkiem Jezus? — „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj..." tak modlimy się w Ojcze nasz; jak nauczył nas Pan Jezus, a my chcielibyśmy najchęt-

O nie! Nic z tego wszystkiego. Ciężką pracą rąk musiał zarabiać w pocie czoła na chleb codzienny dla św. Rodziny, nie zaznając żadnych dostatków, bo Jezus chciał urodzić się w ubóstwie, w ubóstwie żyć i w ubóstwie umierać na krzyżu.

Więc św. Józef cierpiał ubóstwo. Dlaczego cierpiał? Bo taka była Wola Boża i św. Józef bez słowa sprzeciwu poddał się tej Przenajświętszej Woli, uwielbiając ją.

Znał św. Józef dobrze niepewność jutra. Można być ubogim a jednak mieć choć ten kawałek chleba na jutro zapewniony. Św. Józef tej pewności nie miał. Skromny rzemieślnik, nieraz był wykorzystywany, może wiele razy zmniejszono mu albo i nie wypłacono należnego zarobku, ale on, mąż doskonały, sprawiedliwy, przyjął to wszystko jako Wolę Bożą. Mógł być zachowany od tej troski, gdyby Bóg nie chciał Go tą drogą doprowadzić do bezwzględnej ufności w Nim, dawcy wszystkiego.

Cierpiał św. Józef, przyjmując Jezusa do swego domu — Istotnie. Bo jak powiada Bossuet „tam gdzie Jezus wchodzi, wchodzi ze Swoim krzyżem, ze wszystkimi cierpieniami i udziela część tych skarbów tym, których kocha". — I ten Biskup tłumaczy nam dlaczego wchodzą zawsze z Jezusem cierpienia. „Nie można mieć Jezusa za darmo, trzeba koniecznie odebrać część swą w cierpieniu. Bo Jezus szuka duszy mocnej, ochotnej do znoszenia krzyża. Z duszami miękkimi, zmysłowymi Najśw. Syn Boga nie może obcować. Nie zgadza się Jego ubóstwo z dostatkiem, z obfitością doczesnych dóbr.

Przeto św. Józef ukochał cierpienia pochodzące z ubóstwa.

Niestety, my biedni grzesznicy tak trudno możemy zrozumieć błogosławieństwo ubóstwa. Dla nas zawsze ubóstwo jest najcięższym krzyżem do dźwigania. Strach o jutrzejszy chleb czy go mieć będziemy spędza nam sen z powiek. A mamy się przecież modlić o chleb na dziś. niej modlić się „i na jutro i na każdy dzień życia naszego"...

Św. Józef pojmował jasno przez swą wiarę, że Bogu chodzi o to, abyśmy Go prosili o „dziś", jutro jest w rękach Boga!

Gdybyśmy posiadali iskierkę wiary św. Józefa, Jego cierpliwości w pracy o chleb codzienny, posiadalibyśmy również cząstkę Jego miłości ku Bogu. A z miłości ku Bogu wszystko staje się łatwiejsze do znoszenia i choroba i cierpienie i ubóstwo.

Miał więc św. Józef udział we wszystkich skarbach, którymi zdobywa się niebo. Posiadał silną wiarę niczym nie wzruszoną. Jego św. serce pałało miłością ku Bogu, cichy, pokorny, poddany bez zastrzeżeń Woli Bożej. Był najwierniejszym stróżem dziewictwa Matki-Dziewicy i Syna Bożego Karmicielem, Opiekunem. Tak spędził swoje życie w ukryciu i w pokorze, aż nadeszła chwila kiedy mu Bóg pozwolił złożyć powierzony urząd i pójść po wieczną nagrodę do Boga, dla którego żył, pracował i cierpiał. Nadeszła chwila rozstania się z życiem doczesnym.

Jak dla grzesznika chwila śmierci staje się straszną, tak dla wiernego sługi Bożego jest ona szczęśliwą. Wszak zbliża się chwila oglądania Boga, „twarzą w twarz" i to już na wieki. I Bóg otrze wszystkie łzy. Hojnie wynagrodzi za wierność w Jego służbie. A kto był po Matce Najśw. wierniejszym jeżeli nie św. Józef? To też radość poprzedza śmierć św. Józefa: „Błogosławieni, którzy w Panu umierają". Radość z przeszłości, radość teraźniejszości, radość przyszłego życia. Wszystkie stopnie radości błyszczą na czole sprawiedliwego. — Opera enim illorum sequuntur illos" — Tak, uczynki Jego — idą z nim.

Św. Józef nie zaznał agonii moralnej. Konanie jest często okrutne dla umierającego i dla jego otoczenia. W chwili śmierci staje całe życie przed nami, popełnione grzechy, niedokonane dobre uczynki, wszystko, czego zaniedbaliśmy dla chwa-

ły Bożej uczynić, wszystko to napełnia strachem umierającego, jeżeli nie ma w zamian za zło popełnione ofiarować Bogu dobrych uczynków.

Od wszystkich tych obaw był św. Józef, mąż sprawiedliwy, całkowicie wolny. — Wiedział, że szedł całe życie drogą Woli Bożej Był wiernym w spełnianiu jej. Spełnił Wolę Bożą przyjmując na siebie obowiązki Opiekuna Syna Jednorodzonego. Spełnił swoje posłannictwo. Teraz już Maria może obejść się bez jego opieki Zbliża się chwila, że Jezus objawi swą boskość. Misja św. Józefa jest więc spełniona. Sługa wierny może odejść do Pana Najwierniejszego w dotrzymaniu obietnicy. Dzień się ma ku schyłkowi, chwila odpoczynku po utrudzonym życiu bliska. Nie ma u św. Józefa obawy przed rozstaniem z Jezusem i Marią, wie on, że dusze ich pozostaną złączone i po śmierci. — Rozłąka jest tylko przejściowa. Ze ziemią nic go nie wiąże, nie ma żadnego przywiązania do rzeczy ziemskich.

Jezus i Maria przy nim, spokojnie oddaje ducha Bogu, którego Wolę tak wiernie spełniał przez całe życie.

O, błogosławiona śmierci św. Józefa! — Śmierć sprawiedliwego męża, Opiekuna Jezusa i Marii Przeczystej nie była śmiercią bolesną, ale zaśnięciem w objęciach Jezusa i Marii!

Błagajmy św. Józefa, aby przez jego miłość ku Jezusowi i Marii wraz z Nimi przybył w naszej ostatniej chwili życia i pomógł nam tak dobrze umierać, abyśmy Go po śmierci w życiu przyszłym jeszcze bardziej kochać i Boga w Nim wielbić mogli na wieki.

Irena Bechowska.

Cześć obrazów

Cześć oddawana obrazom Świętych bierze początek z szacunku wrodzonego istocie człowieka. Kto zarzuca katolikom, że oddają cześć obrazom Chrystusa i Jego Świętych w domu czy w kościele, ten musi również pozwolić sobie powiedzieć, że miliony ludzi wieszają obrazy swych przodków i wielkich ludzi na ścianach w swym mieszkaniu i w warsztatach pracy. Przedmiot religijnej czci człowiek chce mieć blisko siebie we formie dostosowanej do jego sposobu życia. Artysta tworzy mu takie obrazy i przedstawienia o Bogu i o Świętych. Religijna cześć należy się Świętym tylko dlatego, że Święci w szczególniejszy sposób uczestniczą w świętości Bożej. Boską cześć: uwielbienie — oddajemy tylko Bogu Samemu: nawet Matce Bożej taka cześć się nie należy. Cześć więc oddawana obrazom Świętych w duchu katolickim nie jest żadnym bałwochwalstwem, albo jakimś nienaturalnym objawem pobożności. Oznacza raczej spoglądanie pełne szacunku w górę ku bohaterom chrześcijańskiej wiary, którzy w tak wspaniały sposób wyrzeźbili w życiu swym rysy podobieństwa Bożego, przez co dla nas stają się bodźcem, aby wstępować w ich ślady. Znaną w Wiekach Średnich nienawiść przeciw czci obrazów (Obrazoburstwo w VIII wieku w Kościele Wschodnim i słynne spory o obrazy za czasów Kalwina i Zwinglego) ma swe źródło w braku zrozumienia sensu i znaczenia katolickiej czci obrazów. Dlatego nie bierzemy tego za złe naszym przeciwnikom, bo kto czego nie zna, tego nie może także kochać.

O. J.

Zmartwychwstanie w duszy naszej



Wielkanoc uznana jest w Kościele za „uroczystość najuroczystszą" — solemnitas solemnitatum. - To Jej wywyższenie nad wszystkie święta odpowiada najzgodniej wyjątkowemu stanowisku dogmatu zmartwychwstania w zwartym systemie prawd chrześcijańskich. Jest ona pieczęcią na Księdze Ewangelii — której wszystkie karty wiąże złotą nicią, tak nierozerwalnie, iż żadnej wyrwać ani zamienić nie można bez jej naruszenia. Zmartwychwstanie według myśli Chrystusa i opowiadania św. Pawła ma uczynić naszą wiarę niewzruszoną: „Jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, próżna jest wiara wasza, i próżne jest przepowiadanie nasze". Pewność religii, autentyczność jej prawd, możliwość zachowania jej nakazów, wspaniałość jej obietnic — to owoc tajemnicy Zmartwychwstania, to zarazem przyczyna naszej radości wielkanocnej, naszej pieśni: Alleluja — Chwała Bogu.

Z tysięcy serc wyrywa się ekstatyczne: „Wesoły nam dziś dzień nastał, którego z nas każdy żądał. Tego dnia Chrystus zmartwychwstał. Alleluja!" A triumfalnemu śpiewowi serc i ust wydzwaniają rytm potężne uderzenia królewskich spiżów. Przepiękne to zaiste i rozkoszne chwile rezurekcyjnych uniesień.

By jednak radość nasza nie była pustą a nasz zapał fałszywie egzaltowany, musimy wskrzesić w sobie pełnię życia, z którego tryska prawdziwa i głęboka radość. Znaczy to, iż musi się w nas ponownie rozegrać tajemnica Chrystusowego Zmartwychwstania.

W Wielkanocy panuje niepodzielnie i wszechwładnie myśl o wskrzeszonym życiu, które zatriumfowało nad śmiercią. Myślimy o życiu Chrystusa, które ma się również i w nas przelać, obecnie w formie życia łaski, w przyszłości w postaci chwały niebieskiej.

Dotąd przygniatała nas myśl i obawa niepokonalna przed śmiercią. Ciemna przyszłość wsączała każdemu w duszę gryzący smutek. Lecz oto zjawia się nam świetlana postać Chrystusa, wczoraj jeszcze martwego a dziś żyjącego. Blask chwalebny bijący z Niego rozwiewa w naszej duszy melancholijną pomrokę, zabija na zawsze wszelkie zwątpienie i przezwycięża obawę przed śmiercią. Jeśli On, Król nasz, zwyciężył śmierć, to i nas przed nią na zawsze obroni. Okazał sam, że śmierć nie jest niepokonalną. „Gdzież jest śmierci, zwycięstwo twoje?" Niechże więc zmartwychwstanie w nas Chrystus, albo w odzyskanej łasce albo w nowym jej przybytku.

By w nas mógł powstać Chrystus przez łaskę, trzeba najpierw odwalić grobowy kamień, przygniatający duszę grzech. Konieczne jest najpierw pokonanie śmierci głównej, by zapewnić sobie zwycięstwo nad inną. To taktyka naszego Boskiego Wodza. Najpierw trzeba zadać cios śmierci duchowej, to jest grzechowi, a wtedy śmierć ciała niedługo będzie we władzy nad nami. Śmierć cielesna owionie nas wprawdzie zrazu swym cieniem i ogarnie snem grobowym, lecz to tylko dla tym wspanialszego naszego nad nią triumfu i tym lepszego przypodobnienia się do naszego zwycięskiego Wodza. Najpierw więc musi się odbyć zmartwychwstanie w naszej duszy. Inaczej nasze uniesienia wielkanocne będą fałszywe, obłudne. Inaczej nasza ufność w przyszłe zupełne zmartwychwstanie będzie ułudna. Wskrzeszenie umysłów i serc — to istotna treść przeżyć wielkanocnych, które ponoszą żarliwych chrześcijan ku żywiołowej radości.

Nie czują jej, owszem ganią ją ci, którzy do Wielkanocy przygotowują nie serca swoje, nie dusze, lecz obfite „święcone", smaczne potrawy, cenne podarki, wyszukane stroje i huczne zabawy. Ci co całą treść wielkanocnych obchodów w tym upatrują i o to jedynie się troszczą, zatracili snadź zmysł wyczuwania religijnych rzeczywistości i odgadywania myśli świątecznych, a życie swe religijne ograniczyli do rzeczy dla religii zewnętrznych. Wielkanoc jednak to nie życzenia wesołego Alleluja, to nie święcone jajko, to nie ferie wolne od pracy. Wielkanoc prawdziwa w naszym obchodzie — to triumf Chrystusowego życia w nas.

Ważne jest najsamprzód to, abyśmy dla duszy naszej sprawili królewską ucztę: Komunii wielkanocnej, rozniecili radość w modlitewnym Alleluja — Chwała Bogu, a w winszowaniach gratulowali Chrystusowi jego zwycięstwa. Na Jego pochód triumfalny przystrójmy duszę w we-

selny strój łaski, a jako Jego żołnierze uzbrójmy w chrześcijańskie cnoty i usposobienia. Wtedy niech serce nasze i duszę poniesie radość Chrystusowa, gdyż będzie słuszna, uzasadniona i prawdziwie religijna.

Takie święta miną nam bez żalu, gdyż w sercu zostawią pełnię a w duchu sytość łaski. Chrystus jest w tej chwili najbogatszy i najhojniejszy. Dlatego tym, których widzi godnie radujących się z Jego Zmartwychwstania, przydziela hojne dary z odniesionych łupów.

O. Otto
Karmelita Bosy

Regina coeli laetare — Alleluja

Niepokoi nas milczenie Ewangelii o Marii po zmartwychwstaniu Chrystusa Pana. Wiara ludu i sztuka chrześcijańska przedstawia nam Jezusa witającego Matkę w niedzielę zmartwychwstania, mówią nam o tym i pieśni. Wiara ta opiera się na przekonaniu, że Pan Jezus kochając Marię nad innych, Ją pierwszą pozdrowił, darząc niebiańską radością.

Czy Maria tego potrzebowała?

W chwili, gdy Jezus zamknął powieki, gdy Matka Najśw. zimne Jego Ciało piastowała na swych rękach i z bólem serca zamknęła Je w ciemnym grobie, tego bólu, ani smutku nie można porównywać z rozpaczną boleścią uczniów i niewiast Maria w czasie męki Jezusa cierpiała nad wyraz, bo Jezus cierpiał, ale gdy Jezus skończył mękę, gdy odczuła radość dusz sprawiedliwych w otchłani, oddała się zupełnie wierze w zmartwychwstanie, wierze silnej graniczącej z pewnością i przygotowywała się w modlitwie na przyjęcie tej wielkiej tajemnicy

Wiedziała, czym będzie to zmartwychwstanie, to pokonanie śmierci i szatana, wiedziała, że na tym fundamencie oprze się Kościół, widziała owoce zmartwychwstania i cieszyła się nimi, bolejąc nad tymi, którzy tę prawdę odrzucą. Przeżywała na pewno to wszystko w milczeniu, bo nikt by Jej nie zrozumiał. Wszyscy widzieli w Niej jedynie osieroconą Matkę. Nie wiemy czy w pamiętny ranek słyszała śpiewy aniołów: Królowo rajska wesel się... alleluja nie wiemy, czy istotnie ukazał się Jej Zbawca i jakie było ich powitanie. Język ludzki za ubogi, by to oddać; to pewne, że nowe łaski musiały zalać Jej serce.

Przypuścić należy, że pospieszyła z uczniami do Galilei, jak to nakazał Jezus, znajdziemy Ją na górze Oliwnej w dniu Wniebowstąpienia. Żegnała Syna tęsknym wejrzeniem ale przyjąwszy macierzyństwo duchowe Kościoła, całym sercem oddała się nowym obowiązkom. Ona to wymadlała potrzebne łaski Apostołom i wiernym, Ona uczyła o Jezusie, z którym 30 lat żyła W dniu Pięćdziesiątnicy otrzymuje Ducha Świętego. Przyjście to było powtórnym spotkaniem z Boskim Oblubieńcem duszy. Odżyła scena zwiastowania, a duszę Jej zalały nowe ognie Ducha Świętego, nowe światło do nowych obowiązków i spotęgowanie miłości. Duch Święty uzbroił Ją na ostatni etap życia, ten, w którym związana była z dziełem Syna. Między Nią a apostołami powstała nowa więź i obowiązki.

Czy to nie bogaty temat dla naszych rozważań w okresie Wielkiejnocy?

Maria uczy nas, że nie wolno oddawać się smutkom osobistym, gdyśmy członkami społeczności i mamy obowiązki ojcowskie i macierzyńskie w świecie ducha W świetle Zmartwychwstania uczmy się od Marii z wiarą szukać tego, „co jest w górze i to, co w górze miłować". Nawet wtedy, gdy składamy do ziemi nasze ukochane istoty, naszą nadzieję, musimy wymodlić sobie mężną postawę i nie psuć radości otoczeniu. W okresie świąt dajmy tę radość dzieciom, domownikom, przyjaciołom. Ludzie tak tej radości potrzebują. Zwróćmy uwagę i zainteresowanie, nie na

dyngusy, nie na święconkę, ale na bogatą liturgię oktawy zmartwychwstania, w wyobraźni towarzyszmy Jezusowi wszędzie i z Marią przeżywajmy radość tej prawdy. Budźmy godność i dumę z przynależności do Kościoła, dziękujmy za Chrzest święty i inne Sakramenta paschalne i za Marią wierzmy niezachwianie w dwie przede wszystkim prawdy: Wierzmy, że Bóg spełni każdą obietnicę



Jak Marii niech i nam wystarcza wiara, nie szukajmy proroctw, cudów, nadzwyczajności, nie chciejmy wiedzieć o tym, co Bóg przed nami zakrywa. Wiara i ufność — to dwa najsilniejsze motywy, by zwrócić ku nam wszechmoc Bożą i Jego miłosierdzie. Prośmy o taką postawę Tę, która pierwsza oddała cześć zmartwychwstaniu Chrystusa w głębi swego wierzącego serca.

Druga prawda, która wypływa z tajemnicy zmartwychwstania — to wiara w zmartwychwstanie ciał.

W pierwotnym Kościele ta wiara była silna i dlatego było więcej i radości i świętych. Rozważanie tego ar-

tykułu wiary budzi dumę szlachetną, wyzwala kompleks niższości jaki tworzy świadomość nieuniknionej śmierci „Umrzeć musimy, bo śmierć jest zapłatą grzechu" (Rzym., VI, 23), ale „jeśli umarli nie powstają — ani Chrystus nie powstał" (I Kor., XV, 16).

Co za szczęście odczuje dusza, łącząc się z swym towarzyszem walk o Królestwo Boże. Chrystus się uraduje na widok ciał uwielbionych, które karmił Eucharystią. Aniołowie zachwycą się pięknością tych ciał i adorować będą sprawcę tego cudu, a jakże radować się będzie nasza Matka.

W świetle tej prawdy, o której częściej i głębiej mówmy młodzieży, inaczej starać się ona będzie o czystość ciała. Prawda ta rzuci jasny blask na szarzyznę życia i nasze krzyże, ona inaczej nastawi do bliźnich, którzy razem z nami zmartwychwstaną.

O ile więc ubóstwo nie pozwoli na święcone, o ile w rodzinie zabraknie kogoś drogiego, o ile uderzą na nas różne gromy życiowe, nie usuwajmy się od radości Kościoła. Cieszmy się triumfem Zbawiciela, cieszmy się naszym powołaniem do zmartwychwstania, cieszmy się radością Marii, śpiewając:

Królowo rajska wesel się, Alleluja
Albowiem, któregoś nosiła, Alleluja
Zmartwychwstał jako powiedział,
[Alleluja
Módl się za nami do Boga, Alleluja.

B. Ż.

NA ŚWIĘTA

Wysunął się za innymi z fabryki ciężkim, zmęczonym krokiem robotnika. Ruch na mieście większy dziś był niż zazwyczaj. Szły święta. Świadczył o tym wzmożony gwar przechodniów, ożywiony handel w sklepach, bogato przybrane wystawy...

Odłączywszy się od gromadki swych towarzyszy, szedł wolnym krokiem w stronę śródmieścia, pełną piersią wdychając powietrze wolne od wyziewów fabrycznych. W tych mrocznych godzinach wieczornych urosło mu ono jakby przedsmak niedalekiej już wiosny — jakby pozdrowienie pól i lasów jego wioski rodzinnej.

I zamiast codziennym zwyczajem siąść do tramwaju, mającego go zawieść na przedmieście do ubogiego, samotnego jego pokoju, Andrzej kierował swe kroki coraz to szybciej w stronę śródmieścia.

Strudzony pracą rzadko miał po temu ochotę. Dziś światła miasta pociągały go z jakąś, dla niego samego niezrozumiałą siłą. Czy pociągał go ruch przedświąteczny — gorączkowy nastrój zakupów? Nie było po temu powodu. Widok tego rodzaju rozdrażniał go zazwyczaj. Unikał go. — Myślami nawet umykał od niego. Wiedział, że te święta spędzi albo na hałaśliwej pijatyce w karczmie z przygodnymi towarzyszami, albo na długim wielogodzinnym śnie na nędznym swym posłaniu. Byle nie myśleć, nie wracać pamięcią ku przeszłości — ot tak przebyć te dni bez zastanowienia i znów powrócić do zagłuszającej pracy. Dlaczegóż więc dziś tak chętnie zatrzymuje się przed oświetlonymi wystawami, biegnąc wzrokiem po licznie rozmieszczonych, barwnych różnej wielkości i rodzaju jajkach wielkanocnych, śnieżnobiałych barankach, zajączkach i cukrach, gładząc bezwiednym niemal ruchem główki włóczących się przy nim dzieci, których rozbłysłe oczęta wyrażały zachwyt niezmierny i tęsknotę, nasuwając mu wspomnienie dawno zasnutych urokiem przeszłości jego własnych, dziecięcych lat? Dlaczego tak ochoczo przystaje przed kwieciarnią; gdzie ustawione szeregi różowych, białych, liliowych hyacentów, oraz pąsowych i żółtych tulipanów zwiastują odrodzenie natury, nadciągającą najpiękniejszą porę roku? Sam nie wie, nie rozumie dlaczego stoi tak długo, z jakąś tkliwą radością obserwując subtelne płatki kwiatów — w nim zdaje się coś budzić — czyżby dawno, jak mu się zdawało, zamarłe serce? —

I nagle, niewiadomo też skąd przychodzi pragnienie — pragnienie uczynienia sobie tych nadchodzących świąt jaśniejszymi, lepszymi jakby...

W kilka chwil potem wychodzi z kwieciarni, unosząc zawinięte w bibułkę piękno swych Wielkanocnych Świąt. Coś jakby uśmiech rozjaśnia jego zgnębioną zazwyczaj twarz, gdy przewija się wśród ciżby ludzkiej w dalsze ulice śródmieścia, — a potem zamyślony bezwolnie daje się unieść fali przechodniów.

Jakieś bijące w oczy światło wyrywa go z zadumy. To rozwarte odrzwia kościoła ukazują mu jego wnętrze. Nie może się cofnąć. Tłum napiera, niesie go naprzód. Już jest za progiem. Dawnym bezwiednym sprzed lat zwyczajem zgina kolana. Dlaczego to uczynił? Wszak tego nie chce — tak jak niechciał — a potem zapomniał — modlitwy.

Na kamiennej posadzce świątyni, rozpięty na krzyżu Chrystus w wielkopiątkowej męce — ludzie podchodzą, całują ukrzyżowane dłonie i stopy. Andrzej patrzy długo — i coś drży w jego sercu.. Dawne, dawne wspomnienia...

Nie, to nie jego ojciec, ten oparty na lasce siwowłosy staruszek lecz wyglądałby dziś podobnie, gdyby go nie kryła od dawna darniowa mogiła. Ojciec... rodzice... czemu odszedł od nich, zagniewany śmiertelnie, obiecując nie powracać nigdy w rodzinne strony — i dotrzymał. Nie rzucił grudki ziemi na trumnę ojcowską, zostawił osieroconą matkę staruszkę samotną w chacie, zakamieniały w niesłusznej nienawiści...

Jakaś tłocząca bryła lodowa pęka w piersi. W oszklonych łzami oczach dwoją się światła świec.

W najgłębszej skrusze, zrozumianego nagle ogromu winy i dziękczynieniu razem, chylą się usta Andrzeja do stóp Ukrzyżowanego.

* * *

Rozkołysały się rezurekcyjne dzwony właśnie w chwili, gdy Andrzej dochodzi do skraju swej wsi rodzinnej. Przystaje, kierując ku wieży kościelnej uśmiech pogodny. Kochane! To jakby jego witały, dodając męstwa i otuchy, gdy strudzony z pewnym lękiem w sercu powraca na stałe w swe strony. Jakiegoż to dozna przyjęcia? Dźwiga z ziemi złożony tam tobołek, zarzuca na plecy, przygarnia troskliwie, niesiony w bibule kwiat — musi go donieść nieuszkodzonym do chaty.

Idzie przez wieś, rozglądając się bacznie wokoło — nadchodzą wspomnienia. Mijają go grupki dążących na nabożeństwo ludzi — niektórzy oglądają się za nim — nie zaczepia go jednak nikt ani słowem. Widać nie poznają go, a może i zapomnieli zupełnie.

Widok chaty matczynej wruszeniem ściska za gardło. Andrzej przyspiesza kroku.

Poruszenie klamki u drzwi wejściowych, oraz kilkakrotne pukanie, nie wywołuje od wewnątrz żadnego odzewu. Nagłym lękiem drży serce. Matka?

W obejmującej go ciszy, gdy stoi tak bezradny, niespodzianie poza nim rozlegają się kroki — odwraca się spiesznie. Jakiś kilkunastoletni chłopiec stoi przed nim, przyglądając mu się ciekawie. Andrzej skinieniem głowy wskazuje na chatę. — Gospodyni? — pyta. A, poszła — zagadnięty wyciąga ramię w kierunku kościoła — hań na rezurekcję... Ach, tak — westchnienie bezmiernej ulgi. Dziękuję.

Troskliwe złożenie uwolnionego z bibułki kwiatu na parapecie uchylonego okna — i spieszne, posuwiste kroki w kierunku kościoła. Byleby zdążyć tylko. Wokoło kościoła wzdłuż cmentarza posuwa się procesja. Za baldachimem postępuje, ten sam co za czasów Andrzeja, proboszcz staruszek. Posiwiał tylko więcej i pochylił się ku ziemi. Wszystko tak samo; mogił tylko przybyło, — snują się zmęczone myśli po głowie rozglądającego się wokół Andrzeja. Wzrokiem szuka matki. Idzie nieopodal baldachimu, skupiona, wpatrzona w Przenajśw. Sakrament. Usta szepcą modlitwę — może za syna. Wiedzieć nie może, że odgrodzony tłumem jest przy niej jednak tak blisko...

Spotykają się po nabożeństwie, przy mogile ojca. Andrzej przyklęka przy przybyłej przed nim matce i obejmuje ją ramieniem. Mamo! — Podnosi głowę wstrząśnięta. Błękitne oczy spoglądają długo w jego twarz niedowierzająco ba-

dawczo. Ty? Naprawdę? Ujmuje jej dłonie — przytula do nich usta. Mamo wróciłem — na zawsze. Nie pyta o nic. Przytula głowę jego do piersi. Nakreśla nad nim znak krzyża. I długo splecieni ramionami klęczą u mogiły. Andrzej szepcze zmarłemu słowa obietnicy. Matka wspiera go modlitwą. Powstawszy przytuleni do siebie zaczynają schodzić na dół ku wsi. Milczenie ich wymowniejsze jest od słów. A gdy nareszcie stają przed chatą Andrzej zdejmuje z okna bielejący kwiat — oddaje go matce. Dla ciebie mamo przyniosłem na święta. Spracowane dłonie kobiety delikatnie pieszczotą obejmują drobne kielichy hyacentu.

Gdzieś w pobliskiej wsi rozdzwoniły się dzwony...

M. Jelińska.

DOBROĆ

Nic chyba tak się nie marnuje, jak wrodzona dobroć, ten bezcenny dar Boży, ta iskra Boża, tchnienie Ducha Bożego w ludzkich sercach... Serca te — to jak najpiękniejsze kwiaty, choć o nikłej koronie, ale o przecudnej woni, rodzić mogące najlepsze owoce i nasiona.

Gdyby każdy człowiek skrzętnie uprawiał, rozwijał ten bezcenny dar Boży, ziemia więcej byłaby podobna do raju, niż do „doliny łez"...

Cóż — kiedy tak wielu ludzi, prędzej, czy później wyrzeka się go, bo „nie warto być dobrym" — jak mówią w rozgoryczeniu, nie zastanawiając się głębiej nad wartością dobroci. Inni znów, wprawdzie nie wyrzekają się jej, ale hodują wraz z tą cenną rośliną — chwasty słabości, bierności, gnuśności, lenistwa, „totumfactwa", ograniczenia, które zagłuszają ją i wyradzają w bierną dobrotliwość, gubioną po drogach życia, jako coś bezwartościowego i niepotrzebnego, wydawaną, rozsiewaną najczęściej tam, gdzie nietrzeba, wykorzystywaną przez oszustów i szkodników...

W parze z dobrocią musi iść: m ą d r o ś ć i s i ł a w o l i... Mądrość życiowa, która nietylko w sposób właściwy gospodaruje dobrocią, ale również zdaje sobie sprawę z jej wartości i umie ją zachować w dniach złych, gdy niewdzięczność ludzka i wyzysk grożą jej istnieniu ...gospodarzy dobrocią hojnie, ale celowo, konsekwentnie, wytrwale, dla dzieł, spraw i ludzi z którymi się spotyka...

Nie znaczy to bynajmniej, by tylko ludzi Bożych, sprawiedliwych wspomagała, przeciwnie — wszystkich potrzebujących — ale, by służyła do podźwignięcia (może nie zaraz, może później)..., do podtrzymania, świadoma, a nie bezwolna, „przeciekająca przez palce, wzmacniająca szkodników i oszustów; nie — „dobrotki", lecz dobrzy i mądrzy ludzie...

Wychowanie szczególną pieczą powinno objąć nietylko dzieci „trudne do prowadzenia", ale i dzieci, posiadające wrodzoną dobroć (w wyższym stopniu, niż inne), rozwijając w nich wolę, wytrwałość, inteligencję, samokrytykę, zaprawiając do samowychowywania, żeby ta „sól" ziemi nie wietrzała już od początku...

Nie znaczy to, byśmy wszyscy nie byli zobowiązani do rozwijania w sobie dobroci, choćbyśmy mieli w sobie tylko nikły jej zasób wrodzony... i choćby wadliwe wychowanie rozwinęło silnie egocentryzm i egoizm, boć przecież wiemy, że miłość bliźniego jest po miłości Pana Boga pierwszym i najważniejszym przykazaniem...

Stefania Wesołowska.

Nadzieją weseli

„Nadzieją się weselący".
(z listu do Rzym., 12, 12).

Najwyższą górą świata, to szczyt Himalajów w Azji, Mount Everest. Wysokość jego wynosi 8840 m. Kilkakrotnie już, począwszy od roku 1893, czyniono próby, by go zdobyć. Napróżno...

W roku 1924 nowa ekipa Europejczyków i Krajowców znów gotuje się na jego zdobycie.

Jednego z niej, tuż przed wdzieraniem się na wiecznie śnieżne szczyty, zapytano: „Tylu śmiałków nie dopięło tego dzieła, wielu z nich śmiercią przypłaciło, jakże pan znów ma odwagę ryzykować?

— Gdyby nie nadzieja zdobycia „go", było by to istotnie naiwnością dziecka, ale z nią — z nadzieją w sercu taka wyprawa — to chluba ludzkości!

Dopóki nadzieja będzie ze mną, nie braknie mi siły.

* * *

Dobranoc...

— Dobranoc — cichym i złamanym głosem odpowiedział Tomek i szybko skierował kroki do domu, gdyż była już późna godzina w nocy.

Tomek był istotnie przybity, złamany. Nie otrzymał promocji do następnej klasy... Czuł ciężkie wyrzuty, że nie dotrzymał słowa i, by „zalać chrobaka", złamał uroczyste przyrzeczenie i wypił kilka kieliszków...

Położył się.

Zasnąć jednak nie mógł.

Ale ten Cześ — myślał sobie Tomek — doprawdy dziwny to człowiek! Gdy się jego spotka, zaczyna się wierzyć w szczęście... Choćby ostatnie jego słowa: „Chciałbym każdemu nieszczęśliwemu dać wiarę w szczęście"...

Słowa to jeszcze nic, ale jego głos... Ileż w nim mocy, ileż siły, ile pewności no i, dziwnej serdeczności!

„Dać każdemu szczęście" — czyż i to nie było kiedyś moim marzeniem? — pytał sam siebie Tomek.

Ale czyż to nie była z mej strony wyprawa na Mount Everest? Dziś runąłem i leżę w przepaści pod gruzami i lawiną...

Ale ten Cześ... Ten jego głos. Jego uścisk dłoni...

Tomek poczuł, że dziwne ciepło poczyna obiegać jego ciało.

Zdawało mu się, że jasny blask lipcowego słońca obficie zalał go promieniami. I co dziwniejsze: od wewnątrz...

Chciał krzyczeć: ja też! ja także! Ja się przyłączam do was. Chcę — muszę — zdobyć Mount Everest. Chcę przynieść ludzkości nowe zdobycze wiedzy. Chcę sam się okryć laurem sławy!!!

Ale już nie zerwał się, bo — zasnął...

* * *

Skąd czerpać niewyczerpane zasoby siły, by zdobyć nadmiar szczęścia, by i z innymi dzielić się jego słodyczą? — pytamy i my niejednokrotnie siebie, spoglądając na wzniosłe młodzieńcze ideały, niby na niebosiężny Mount Everest.

„Dopóki nadzieja będzie ze mną nie braknie mi siły — powiedział sobie ów „zdobywca szczytów" — i wyruszył.

Przedziwna ta moc nadziei!

Czymże ona jest?

Nadzieja jest istotnie mocą, siłą, która podtrzymuje naszą wolę w zdobywaniu jakiegoś dobra, jeszcze nieobecnego. Otrzymanie promocji, złożenie egzaminu, wypracowanie pięknego charakteru, to przedmiot naszej nadziei.

Nadzieja osiągnięcia upragnionego dobra broni nas przed **najgroźniejszym** wrogiem wszelkiego postępu i życia — przed **zniechęceniem**.

Nawet i „ludzka", człowiecza nadzieja.

Lecz jest i inna nadzieja. Jest nadzieja nadprzyrodzona, chrześcijańska. Jest to cnota wewnętrzna, która sprawia, że przez wzgląd na wszechmoc Pana Boga, Jego dobroć i wieczność, z mocną ufnością oczekujemy tego, co nam przyobiecał dla zasług Jezusa Chrystusa.

Uzdolnieni więc mocą nadziei, oczekujemy Najwyższego Dobra: posiadania Boga, które stanie się nam źródłem niewysłowionego i niewyczerpanego szczęścia. Oczekujemy i również od Boga odpowiednich środków, sposobów, abyśmy ów nasz wzniosły szczyt — niby duchowy Mount Everest — mogli zdobyć.

Każda spowiedź, każda Komunia święta, najmniejsza zachęta do dobrego, każde światło i ciepło łaski uczynkowej, to przejawy wszechmocy i dobroci Bożej. Co więcej, to sam Pan Bóg schodzący do nas — jako matka — i **wspomagający** nas w dążeniu do ostatecznego celu.

A więc i pomyślny egzamin, jeśli nam ma być stopniem, po którym wstąpimy bliżej Boga, jest przejawem dobroci Bożej, jest owocem nadziei chrześcijańskiej.

Jakie zadanie ma spełnić w życiu człowieka — zwłaszcza u młodych nadzieja chrześcijańska?

Przepięknie jej rolę określa samo Pismo święte w tym cudnym porównaniu: *„A którzy mają nadzieję w Panu, odmienią siłę, wezmą pióra jako orły: pobieżą, a nie upracują się..."* (Iz. 40, 31).

„Wezmą pióra jako orły". Młodzi, z chrześcijańską nadzieją w sercu, stają się istotnie uskrzydlonymi orłami. Orłami — w zdobywaniu swych ideałów. Są orłami w wzlatywaniu na duchowe wyżyny nieśmiertelnego piękna swych jasnych — jak górskie szczyty, skąpane słonecznym blaskiem — dusz.

Wcale nie gardzą oni ziemią. — Wszak wiedzą i pamiętają, że ona ze swymi wspaniałościami jest tworem Najwyższego; jest odbiciem i cieniem Jego Nieskończonego Piękna. Nie tylko nie lekceważą pracy, obowiązku, lecz właśnie dzięki nadziei, pracują sumiennie i ofiarnie, aż do krwi na dłoniach, aż do pochylenia czoła, ale zawsze z sercem podniesionym w górę, wsluchanym w wezwanie Apostoła: „Co w górę jest szukajcie, gdzie Chrystus jest siedzący na prawicy Bożej. Co w górę jest miłujcie..." (do Kolos. 3, 1).

Nadzieja, czyli pewność, że Boski Mocarz jest z nami, opromienia oblicze młodych — duszy i ciała — nieziemskim weselem. Nawet nad grobem w ich sercu rozbrzmiewa melodia radosnego Alleluja!

— Dziadziu, a kiedy nasza babunia „wypuści kieł" i kiedy „zakwitnie" — tak jako ten kwiatek z zielenią, — chciała dokończyć sześcioletnia Józia, która z dziadkiem wybrała się na grób swej babki...

Odrodzająca się z martwoty zieleń wiosny i pierwsze pączkujące kwiaty takie myśli o zmartwychwstaniu nasuwają już nawet nieletniemu dziecku.

Przypadkowe myśli, ale i namacalny owoc chrześcijańskiej nadziei, wlanej już w chwili chrztu św. do duszy naszej. Nadziei, świadomej wielkiego faktu: „Zmartwychwstał Chrystus **nadzieja** moja".

Odpowiedzią dziadka, wpatrzonego w świeżo rozkwitły kwiat, trzymany w rączce swej wnuczki, były — łzy, lecz nie smutku, ale wesela. Wesela, zrodzonego z nadziei.

A zatem nie jestem sam. Nie jestem zdany wyłącznie na siebie.

Jest ktoś ze mną: **Ktoś**, z którym wszystko mogę. Wszystko. I egzaminy złożyć i, — z Jego pomocą — piękny charakter, płomienne serce zdobyć.

Pod jednym wszakże warunkiem: muszę się z Nim **złączyć**. Złą-

czyć się, „zakotwiczyć się“ w Nim: przez stan łaski uświęcającej, przez modlitwę — przez natarczywość w modlitwie — która mi da i bystrość umysłu i nieugiętość woli.

A więc możesz i Ty, — Romanie — mimo trudności, osiągnąć swoje ideały. Potrafisz i Ty, — Krysiu — z nadzieją w sercu, uporać się z matematyką i stać się — jak tego pragnie Basia — „aniołem dobroci“ dla bliźnich.

Złóż tylko nadzieję w Panu i daj dowody Twej ufności: módl się i pracuj.

* * *

Nazajutrz Cześ, zaraz z rana, przybył do Tomka.

Była niedziela.

Komunikowali razem.

Po śniadaniu, przy słonecznej całodziennej pogodzie, urządzili wycieczkę w góry.

W czasie wypoczynku, pośród jodłowego lasku, Cześ zapytał Tomka:

— Czy pamiętasz, jakiego koloru ornat dzisiaj był do Mszy św.?

— O ile sobie przypominam to w... zie-lonym.

— Świetnie — jak widzę Tomku — masz spostrzegawczość. A czy ty wiesz, czego symbolem jest zieleń i zielony ornat?

— Takich „umiejętności“, to już nie pojmuję — odparł Tomek, ciekaw końca historii z ornatem.

— A więc — mój ty drogi — pamiętaj, że z i e l e ń — to symbol nadziei, a z i e l o n y ornat, to przypomnienie chrześcijańskiej nadziei. Czyż tutaj, obecnie, wdychając żywiczne jodłowe powietrze nie czujesz odradzających się na nowo w tobie sił? To nadzieja wstępuje do twych kości.

— N a d z i e j a — powtórzył powoli i poważnie Tomek.

Wieczorem Tomek napisał w liście do kolegi: „Po wczorajszych przeżyciach, już „stoję na nogach“. Dziś komunikowałem. Ze mną także Cześ. Dziwny to człowiek! Dopiero dziś poznałem, w kim miałem wiernego przyjaciela.

Gdybyś Ty doświadczył, co to jest n a d z i e j a...

Z nią istotnie można się wybrać i na Mount Everest...

O. Rudolf k. b.

Więcej piękna

IV. Na falach tonu

„A mnie dusi życie całe,
Tych dni szarych pajęczyna,
Bo mnie piękna, piękna trzeba.
Rwąc się myślą, duszą cały
Do wolnego w bezkres lotu,
O myśl ludzką skamieniałą
Raniąc serce wśród trzepotu
Skrzydeł, które Duch rozrzuca“

W tej tęknocie młodziutkiej Zofii Czarneckiej znajdujemy własne pragnienia piękna. Biedny, kto nie kocha piękna, a nie kocha, bo go nikt nie nauczył, bo nim jeszcze zdolny był je zrozumieć, już pił brzydotę, pospolitość, grzech. Należy więc na piękno uwrażliwiać i to nie tylko dzieci i młodzież, ale przez całe życie pracować nad smakiem estetycznym. Najlepszym mistrzem w tej dziedzinie jest samo piękno, tak w przyrodzie jak sztuce. Ze sztuką trzeba dziecko zetknąć jak najwcześniej i nauczyć z nią obcować.

Profesor Szuman, który niejednokrotnie zabierał głos w sprawie wychowania estetycznego między innymi tak pisze: „Subiektywna uczuciowa natura człowieka potrzebuje rezonansu, obrazu, wyrazu. W estetycznych przeżyciach młodzież nawiązuje personalną, uczuciową nić porozumienia między sobą, a światem. Wczuwając się w przyrodę potrafi ją nie tylko poznać ale i zrozumieć... W dziełach poezji i litera-

tury znajduje psychologiczne, wewnętrzne prawdy o dążeniach, potrzebach, walkach i tragicznych wzlotach duszy. W muzyce odkrywa wyraz i oddźwięk nurtujących we własnej psychice uczuć, na które nauka jest głucha. W malarstwie zjawia się przed jej oczyma świat widzialny przez pryzmat jaźni... Najistotniejszym elementem przeżyć estetycznych młodzieży są elementy wyrazu i harmonii".

Pierwsza przemawia do młodzieży muzyka tonami kołysanki, ona najwierniej towarzyszy człowiekowi, by go nad grobem pożegnać pieśnią Salve Regina, sięga do głębi więcej niż plastyka. Muzyka działa harmonią tonów, a melodia i harmonia — jak pisze J. Kremer — to dwa Boże Anioły, które pozostały na ziemi, gdy ona utraciła raj niewinności. Tej melodii i harmonii spisał nuty wiekuisty kompozytor zanim stworzył gwiazdy, zanim zagrał na promieniach światłości swojej. Tej harmonii ciche odgłosy żyją w muzyce ziemskiej, żyją w sercu człowieka" (Listy z Krakowa tom III). Wielki muzyk Wagner porównuje państwo dźwięków do niezmierzonego oceanu, ciągnącego się bez granic, bez oznaczonych konturów, którego prawem jest harmonia.

W muzyce za pomocą tonów uzewnętrznia się najgłębsze uczucie. Na niższe władze działa głównie rytm, na wyższe melodia wzmocniona harmonią. Im jaskrawiej występuje takt w muzyce, tym gwałtowniej porywa nasze ciało do odpowiednich ruchów, (przykład zachowania się na ulicy w czasie marszu orkiestry). Wyższe porządki melodii i harmonii działają na władze duchowe. Zachwycanie się jedynie brzmieniem rytmicznym zdradza pewne barbarzyństwo umysłu i brak uobyczajnienia. Co mówić więc o tych, którzy tak łatwo zachwycają się muzyką różnych tańców murzyńskich?

Melodia i harmonia działają na całą naszą psychikę, opanowują system nerwowy, przemawiają do uczuć, działają na wolę tak silnie jak żadna ze sztuk pięknych. W duszy słuchacza odzywają się odpowiednie struny i dostrajają się do tonów słyszanych. Następują żywe ekspresje w ruchach, mimice, wypowiadamy się głosem, słowem, całą postawą. Pod wpływem muzyki człowiek zarówno zdolny do bohaterstwa, jak do zbrodni, do płomiennego czynu jak i do leniwego rozmarzania, do wybuchów miłości i tej ziemskiej do człowieka i do wzniosłej, która prowadzi na bój za ojczyznę, a tysiące męczenników na arenę z potężnym hymnem: Christus vincit, Christus regnat, Christus imperat".

Każdy ruch socjalny, czy narodowy, każde rodzące się uczucie znajduje wyraz w pieśni. Przeznaczeniem muzyki będzie zatem umilenie życia i podniesienie go na wyższy poziom duchowy, zachęcenie do ofiary, pracy, poświęcenia dla idei. Jakie skarby mieszczą się w muzyce najlepiej widzimy na pieśniach ludowych, które były i będą natchnieniem dla największych artystów. Rozumiał to Mickiewicz, skoro napisał:

„O pieśni gminna ty arko przymierza
Między dawnymi a młodszymi laty.
W tobie lud składa broń swego rycerza.
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.

— — — — — — — — — —

O pieśni gminna ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła
Z archanielskimi skrzydłami i głosem.
Ty czasem dzierżysz i broń archanioła".

Pieśń Wajdeloty

Czym jest muzyka dla duszy widzimy to na pieśni religijnej. Chrystianizm uważa muzykę za sztukę zrodzoną z własnej krwi i ciała jego, a jak kontrapunkt będący duszą muzyki zestraja dźwięki i tony różne w jedność harmonii, tak serce przepełnione wiarą zlewa w akordy dźwięki doczesne i wiekuiste, tony

niebios i ziemi, śmierci i zmartwychwstania" (Kremer jak wyżej).

Święty Augustyn słuchając choralu ambrozjańskiego w katedrze mediolańskiej pisał: „Głosy wpływały w duszę moją, prawda wiekuista sączyła się w serce, a nabożeństwa uczucie wylewało się radości łzami pełnymi słodyczy". (Wyznania).

Muzyka religijna znajduje swój wyraz w śpiewie gregoriańskim. Polacy nadto mają bogatą skarbnicę pieśni ludowych, w których lud wypowiedział swą wiarę i miłość i ujął najgłębsze prawdy Boże w formy pełne wdzięku kolęd czy Gorzkich Żali, albo pieśni maryjnych i eucharystycznych.

Jaki stąd wniosek praktyczny? — Brać czynny udział w chorale, we wspólnym śpiewie towarzyszącym nabożeństwom, pamiętając, że kto śpiewa, dwa razy się modli. Ale jest i drugi wniosek, by dokładać starań o podniesienie wartości estetycznych w wykonywaniu tych pieśni. Wkrada się bowiem różna, obca duchowi Kościoła maniera, lub nieumiejętne użycie głosu zamienia chór na krzykliwą imprezę.

Ponieważ śpiew jest najprostszą formą wyżycia się muzycznego, musi odpowiadać usposobieniu dziecka, kulturze środowiska, nadto sama pieśń musi być wartościowa. Pozwólmy dzieciom śpiewać pojedynczo i w chórach, ale czuwajmy, by nie zdarło za wcześnie głosu przez nieumiejętne jego użycie. Temu zapobiega systematycznie nauka, o którą dziś o wiele łatwiej. Innym sposobem wyżycia się muzycznego będzie opanowanie jakiegoś instrumentu, zwłaszcza fortepianu lub skrzypiec. Rodzicom nie wolno lekceważyć tego odłamu wykształcenia i nie uważać tego, za czas stracony. Ileż gorzkich przeżyć, jakie niesie samotność zaoszczędzi się młodzieży na przyszłość, ileż się stworzy okazji do oddania uczuć w formie piękna wysokiej miary, ilu ułatwi muzyka walkę o byt, ilu uszczęśliwi? I nie czekajmy na oznaki niezwykłego talentu. nie szukajmy „cudownych dzieci", ale każdy w większym lub mniejszym stopniu może być artystą, może przez ćwiczenie wyrobić sobie słuch i wprawę w palcach. Tylko strzeżmy narząd słuchowy od wstrząsów, a struny głosowe od zrywania przez krzyki, śpiewy w nieodpowiedniej skali.

Przede wszystkim niech dzieci dużo słyszą dobrej muzyki, nie żałujmy na koncerty; w ostateczności radio musi nieraz zastąpić muzykę żywą. Wychowawca katolicki o jednym jeszcze musi pamiętać, by serce nie oddało się bez reszty w niewolę piękna, by potrafiło poprzez piękno stworzone dojść do Piękna niestworzonego, do Boga. I tu nam wzorem mała Terenia Martin. Chętnie siadywała nad rzeką i zasłuchiwała się w szum wody i wiatru, w echa muzyki wojskowej, która ją zawsze rozrzewniała i marzyła o niebie i o tych niebiańskich harmoniach, których zadatkiem są symfonie ziemskie.

S. Barbara Żulińska.

Zostań z nami...

Słowa Ewangelii na Poniedziałek Wielkanocny zachwycają nas swą prostotą i szczerością.

Opisują nam na gorąco fakty i nastroje, jakie panowały zaraz po Zmartwychwstaniu Pana Jezusa. Wśród uczniów Jezusa zapanowało przygnębienie i smutek. Wszak spodziewali się triumfu i wyniesienia Chrystusa. W niedzielę Palmową wszystko zdawało się zapowiadać bliską chwilę ziszczenia tych nadziei. — A tu nadszedł Wielki Czwartek — pojmanie, proces sądowy, wyrok śmierci i haniebna śmierć na krzyżu, na którym wieszano złoczyńców i opryszków. Jakaż ogromna przemiana! — Zawód i rozczarowanie wtargnęło do duszy uczniów. Wszystko tak marnie skończone?...



Gromadka uczniów siedziała trwożnie w Wieczerniku — żyjąc wspomnieniami ostatnich chwil Chrystusa. Coś tam niewiasty mówiły rano, że znikło Ciało Jezusa z grobu; Piotr i Jan potwierdzili to samo. Może je wykradziono — żeby zniszczyć wszelki ślad po „rzekomym" Mesjaszu, a teraz zabiorą się do garstki zwolenników Galilejczyka... Niewielu ich pozostało po smutnym końcu na Kalwarii a i ci jeszcze się rozpraszali.

Właśnie dwu z tych uczniów opuszczało Jerozolimę, by udać się do pobliskiego Emaus. Rozmawiali po drodze o smutnych ostatnich wypadkach, którymi byli wstrząśnięci. Po drodze przyłączył się do nich obcy Wędrowiec. Zapewne przestali nagle mówić, ale nie potrafili ukryć przed przygodnym towarzyszem drogi swego przygnębienia i smutku. — Współwędrowiec, chcąc ich do siebie ośmielić i zmniejszyć przedział, jaki w pierwszej chwili odczuwamy względem obcego, spytał uprzejmie: o czymże to rozmawiacie i dlaczego jesteście smutni?

A coś ty z daleka teraz przybył i nic nie wiesz, co się działo ostatnimi dniami w Jerozolimie? Nic nie słyszałeś o Jezusie i Jego śmierci?... Myśmy się spodziewali, że on odkupi Izraela... A tymczasem już trzeci dzień od śmierci... Jakże tu nie być smutnym...

„O głupi i leniwego serca do wierzenia temu wszystkiemu, co powiedzieli prorocy"! To było jakby uderzenie obuchem w głowę. Przykre wrażenie gorzkiej wymówki zacierało się jednak coraz bardziej, gdy Obcy zaczął im tłumaczyć wszystkie proroctwa, jak one się spełniały właśnie na Tym, w którego oni poczęli już wątpić. To ich podniosło. Niebawem dochodzili już do celu swej podróży, a wędrowiec „okazywał, jakby miał iść dalej". Dużo Mu zawdzięczali — jego słowa były pokrzepieniem dla nich, chcieliby go mieć dłużej ze sobą, a zresztą względy gościnności wskazywały, by Obcego zaprosić do siebie na noc. Zaczęli więc nalegać z pewną wschodnią natarczywością i dobrze widzianą przesadą: „Zostań z nami bo się ma ku wieczorowi i dzień się już nachylił". Jezus chętnie przyjął gościnę; chciał dokończyć swego dzieła — „i wszedł z nimi".

Oczywiście zaraz po oczyszczeniu z podróży pomyślano o ugoszczeniu zaproszonego. I właśnie przy stole, przy łamaniu chleba „otwarły im się oczy i poznali Go". Jakąż niezmierną radością napełniło się im serce. Ileż mu chcieli teraz powiedzieć, wyżalić się, popytać?... Lecz On właśnie teraz „zniknął z ich oczu".

Nie oglądali już Go oczyma, ale czuli Jego działanie w swych duszach... Ogromna radość, otucha i ufność rozpierała ich serca. Nie mogli tego wszystkiego pomieścić w swych wnętrzach i zamiast myśleć o wypoczynku — puścili się czym prędzej w powrotną drogę do Jerozolimy, by podzielić się radosną nowiną z innymi uczniami, że Chrystus żyje, chociaż umarł na krzyżu. Chcieli przelać swą radość, ufność, otuchę i wiarę na innych...

Każdy punkt z tej Ewangelii godny jest głębokiego zastanowienia i mieści dla nas pouczającą naukę. Nasza niewiara... przygnębienie... rozczarowanie... Nagana Chrystusa... Ale zwróćmy szczególną uwagę na dwa momenty: „I przymusili Go, mówiąc: Zostań z nami"; „I otwarły im się oczy i poznali Go"...

Przymuszajmy Chrystusa, nalegajmy nań, bądźmy natarczywi, mówiąc ustawicznie: „Zostań z nami". A zapewne otrzymamy wiele cennych łask; w wielu rzeczach otworzą nam się oczy i podążymy do innych z pociechą.

O. Eliasz od M. B. Szkaplerznej k. b.

SPRAWY WYCHOWAWCZE

O autorytecie rodzicielskim

Musicie spełnić swe zadanie rodzicielskie jak najlepiej, z tego właśnie się wywodzi cały wasz autorytet. Przede wszystkim musicie wiedzieć, czym żyje i interesuje się wasze dziecko, co lubi, czego nie lubi, czego chce i czego nie chce. Musicie wiedzieć, z kim się przyjaźni, z kim i jak się bawi, co czyta i jak przeżywa to, co przeczytało. Jeżeli chodzi do szkoły, powinniście wiedzieć, jaki jest jego stosunek do szkoły i do nauczycieli, jakie ma trudności, jak zachowuje się w klasie. W tym wszystkim musicie się orientować od najmłodszych lat życia dziecka. Nie powinniście niespodzianie dowiadywać się o różnych nieprzyjemnościach i konfliktach, ale odgadywać je i zapobiegać im.

O tym wszystkim trzeba wiedzieć, ale to wcale nie znaczy, że wolno męczyć dzieci ciągłymi dokuczliwymi pytaniami, niegodnym i natrętnym szpiegowaniem. Powinniście od początku postępować w ten sposób, by dzieci z własnej chęci zwierzały się wam ze swoich spraw, by same pragnęły o nich wam opowiedzieć, by zależało im na tym, żebyście o nich wiedzieli. Powinniście zaprosić od czasu do czasu kolegów syna, nawet urządzić dla nich jakiś po-

częstunek, kiedy indziej znów odwiedzić ich rodzinę, starać zaznajomić się z nią przy pierwszej sposobności.

Na to wszystko nie potrzeba dużo czasu, potrzeba tylko zainteresowania się dziećmi i ich życiem. Wasze dzieci na pewno zauważą to zainteresowanie. Dzieci lubią, jeżeli rodzice znają ich życie, i szanują ich za to.

Autorytet oparty na znajomości życia dziecka — prowadzi do autorytetu pomocy. W życiu każdego dziecka często są wypadki, kiedy nie wie ono, jak trzeba postąpić, i potrzebuje rady i pomocy. Być może nie będzie umiało poprosić was o to, sami powinniście przyjść mu z pomocą.

Często taką pomocą będzie bezpośrednia rada, kiedy indziej żart, polecenie lub nawet rozkaz. Znając życie swego dziecka sami będziecie wiedzieli, jak najlepiej postąpić. Niekiedy trzeba okazać tę pomoc w jakiś specjalny sposób — może przez udział w zabawie dzieci, zawarcie znajomości z ich kolegami lub rozmowę w szkole z nauczycielem. Jeżeli w waszej rodzinie na szczęście jest kilkoro dzieci, można wciągnąć do takiej pomocy starsze rodzeństwo.

Pomoc rodziców nie powinna by natrętna, dokuczliwa, nużąca. W niektórych wypadkach koniecznie trzeba pozostawić samemu dziecku wybrnięcie z trudności, trzeba przyzwyczajać je do pokonywania przeszkód i rozwiązywania bardziej skomplikowanych zadań. Zawsze jednakże trzeba obserwować, w jaki sposób dziecko bierze się do tego, nie można pozwolić, aby się znalazło w sytuacji bez wyjścia i wpadło w rozpacz. Niekiedy nawet trzeba, aby dziecko widziało waszą czujność, uwagę.

Dziecko będzie odczuwało obok siebie waszą obecność, waszą rozsądną troskliwość, a jednocześnie będzie wiedziało, że jednak czegoś od niego wymagacie, że nie macie zamiaru wszystkiego za niego robić, zdjąć z niego całej odpowiedzialności.

Właściwie zasada odpowiedzialności jest dalszą ważną podstawą autorytetu rodzicielskiego. W żadnym wypadku dziecko nie powinno myśleć, że kierowanie nim i rodziną jest dla was przyjemnością czy też rozrywką. Musi sobie uświadomić, że odpowiadacie przed społeczeństwem nie tylko za siebie, lecz również za dzieci. Nie należy obawiać się otwarcie i mocno powiedzieć synowi czy córce, że ich się wychowuje, że muszą jeszcze wiele się nauczyć, że powinni wyrosnąć na dobrych obywateli i dobrych ludzi, że za osiągnięcie tego celu rodzice ponoszą odpowiedzialność i nie lękają się jej. To poczucie odpowiedzialności jest podstawą nie tylko pomocy, ale i wymagań. Niekiedy wymagania te powinny być wyrażone w najbardziej stanowczej formie, która nie dopuszcza sprzeciwu. Trzeba jednak zaznaczyć, że stawianie wymagań o tyle tylko przyniesie korzyść, o ile autorytet odpowiedzialności tkwi już mocno w świadomości dziecka. Powinno ono czuć już od najmłodszych lat, że nie żyje wraz z rodzicami na wyspie bezludnej.

Kończąc nasz wykład, powtórzmy krótko, o czym mówiliśmy:

Autorytet jest konieczny w rodzinie.

Należy odróżniać istotny autorytet od fałszywego, opartego na sztucznych założeniach i dążącego do osiągnięcia posłuszeństwa dowolnymi środkami.

Istotny autorytet musi się opierać na waszej działalności obywatelskiej, waszym poczuciu obywatelskim, znajomości życia dziecka, pomocy dziecku i odpowiedzialności za jego wychowanie.

Wyjęte z: „Wychowanie w rodzinie". Nap. Makarenko.

Sakrament małżeństwa i jego skutki

Veni Creator Spiritus...

Zaintonowany przez kapłana — hymn, podejmuje wyborowy chór. Przy potężnym akompaniamencie organów pieśń zda się przebijać sklepienie kościoła i unosić się w niebo, aby tam połączyć się z śpiewem aniołów adorujących Boga i śpiewających ustawicznie: Święty, Święty, Święty!

Ołtarz przystrojony w barwne kwiaty olśniewa ilością światła.

Przed kapłanem klęka młoda para. Z ust tych młodych ludzi padają słowa: „Ja N. biorę sobie ciebie N. za małżonka(ę) i ślubuję ci miłość, wiarę i uczciwość małżeńską, oraz to, że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż Panie Boże Wszechmogący, w Trójcy jedyny i wszyscy święci".

W tej chwili udzielają sobie nowożeńcy sakramentu i niewidoczna łaska łączy ich w jedną całość. Mówią słowami Pisma św. „już nie są dwoje, ale jedno ciało" (Mat. XIX. 6).

Następują jeszcze modlitwy kapłana, znowu rozlega się kaskada tonów zlewających się w jedną radosną melodię i już młoda para znajduje się w otoczeniu rodziców, teściów, krewnych, powinowatych i znajomych.

Gratulacje... gratulacje...

A w domu przyjęcie, zabawa, tańce, czasem i wódka, muzyka, dym z papierosów. Przyjęcie przeciąga się późno w noc.

Przyglądając się bacznie przygotowaniom i samemu małżeństwu, dochodzi się do wniosku, że ludzie nie zdają sobie sprawy z właściwej istoty aktu małżeńskiego. Ileż dokładają starań, aby welon panny młodej był według ostatniej mody, podobnie ubranie pana młodego, aby śpiewał najlepszy chór jaki istnieje w danej miejscowości, a cóż dopiero mówić o zabiegach dokoła przyjęcia! Samą zaś przysięgę małżeńską złożoną w obecności kapłana u stóp ołtarza, traktuje się często, jako „ładny zwyczaj", jako coś pobocznego. A przecież to jest rzecz najważniejsza, ona łączy dwojga młodych ludzi, ona napełnia ich łaską i pociąga za sobą pewne skutki. I do tej przysięgi powinni się należycie narzeczeni przygotować, przez rekolekcje. Tak, rekolekcje przedmałżeńskie. Niestety, w Polsce dotąd są one niemal że nieznane. A należy żałować, bo z ilością rekolekcji, zmniejszać się będą rozwody, nieporozumienia.

Jak już wyżej było powiedziane, małżeństwo pociąga za sobą liczne skutki.

Kodeks kanoniczny tak o tym przedmiocie mówi: „Z ważnego małżeństwa rodzi się między małżonkami węzeł z natury swojej dozgonny i wyłączny; nadto małżeństwo chrześcijańskie daje łaskę małżonkom nie kładącym przeszkody" (kan. 1110).

Jak z tego wynika, podwójny jest skutek ważnie zawartego małżeństwa, nadprzyrodzony i prawny. — Nadprzyrodzony, tyczący tylko chrześcijańskiego małżeństwa, polega na pomnożeniu łaski poświęcającej wraz z cnotami i darami wlanymi, oraz na prawie do nadprzyrodzonej pomocy w wykonywaniu obowiązków przyjętych na siebie, czyli na łasce stanu małżeńskiego. Temu skutkowi nadprzyrodzonemu mogą przeszkodzić sami nowożeńcy przez brak stanu łaski, czyli życia nadprzyrodzonego, gdyż małżeństwo jest sakramentem żywych.

Skutkiem prawnym ważnego kontaktu małżeńskiego jest węzeł małżeński dozgonny, nieprzerwalny aż do śmierci jednego z nowożeńców. Następstwem tego węzła są różne wzajemne prawa i obowiązki małżonków między sobą i w stosunku do swoich dzieci.

Przypatrzmy się najpierw pra-

wom i obowiązkom małżonków między sobą. Kodeks kanoniczny mówi o nich lapidarnie w trzech kanonach. Pierwszy z nich brzmi: „Oboje małżonkowie od chwili zawarcia małżeństwa mają jednakie prawo i obowiązek dotyczący właściwych aktów pożycia małżeńskiego" (kan. 1111).

Prawo to nabyte na podstawie umowy zawartej pomiędzy dwiema stronami, jest prawem wzajemnym t. zn. przysługującym obydwu stronom i jest prawem równym, czyli małżonkowie mają równe prawa i obowiązek dotyczący właściwych aktów pożycia małżeńskiego" (kan. 1111).

Dzięki temu prawu i obowiązkowi, małżonkowie zostają połączeni między sobą moralnie. Odtąd żona należy do męża, a mąż do żony. Św. Paweł tak to wyraża: „Żona nie ma w mocy ciała swego, ale mąż. Także i mąż nie ma w mocy swojej ciała swego, ale żona" (I Kor. 7, 4). Następuje tu pewnego rodzaju prawo własności, które składa się z dwóch elementów: pozytywnego i negatywnego. Pozytywnego mianowicie, każda strona ma prawo żądania powinności małżeńskiej, a druga strona obowiązek spełnienia tego żądania. Negatywnego — prawo to wyklucza na czas trwania małżeństwa inne osoby, by chciały korzystać z jakichkolwiek praw przysługujących małżonkom.

Istnieje też pozytywne prawo boskie nakazujące zadośćuczynić powinności małżeńskiej: „Mąż niechaj żonie powinności oddaje, także też żona mężowi" (I Kor. 7, 3).

Kanon 1128 powiada: „małżonkowie powinni zachować wspólne pożycie małżeńskie, o ile ich z tego nie zwalnia słuszna przyczyna". — Wspólne zaś pożycie małżeńskie wymaga wspólnego mieszkania, łoża i stołu. W Piśmie św. czytamy: „Przetoż opuści człowiek ojca swego i matkę, a przyłączy się do żony swej, i będą dwoje w jednym ciele" (Rodz. II, 24). Słowa: „przyłączy się (mąż) do żony swej i będą dwoje w jednym ciele" znaczą właśnie wspólność życia. Żaden małżonek nie może porzucić drugiego, czyli uwolnić się od wspólnego życia, z wyjątkiem słusznej separacji.

Według kanonu 1112, żona uczestniczy w prawach męża przysługujących mu według stanu jego, chyba, że co innego zastrzega specjalny przepis prawa. Żona więc ma prawo do nazwiska męża, godności i przywilejów i t. p. Jest bowiem ona towarzyszką u boku męża (por. Casti connubii). Na mocy jednak tak prawa przyrodzonego, jak i pozytywnego boskiego, mąż jest głową rodziny. Jak zrozumieć tę władzę mężową nad żoną i rodziną tłumaczy nam św. Paweł przytaczając przecudną analogię: „Żony niechaj będą poddane mężom swym, jako Panu: albowiem mąż jest głową żony, jako Chrystus jest głową Kościoła, ciała swego, którego on jest Zbawicielem. Jako tedy Kościół poddany jest Chrystusowi, tak też żony swym mężom we wszystkim poddane być mają. Mężowie, miłujcie żony wasze, jako i Chrystus umiłował Kościół i samego siebie wydał zań..." (Ef. V, 22—25).

Mężowie przeto nie są bezgranicznymi dyktatorami, albo tyranami. Nie mają iść w ślady Chrystusa, choćby droga ta wiodła na... Golgotę i tam przyszło umrzeć za... żonę!

Małżonkowie też mają prawa i obowiązki względem swych dzieci.

Do pierwszego celu małżeństwa należy odpowiednie wychowanie dzieci. Stwierdza to kanon 1113: „Rodzice są jaknajściślej obowiązani do troszczenia się w miarę sił o religijne. moralne, tak fizyczne jak i obywatelskie wychowanie potomstwa oraz zapewnienie mu doczesnego bytu". Aby móc odpowiednio wychować dzieci, rodzicom przysługuje władza rodzicielska. Władza ta tak daleko sięga, jak daleko sięga wychowanie. Cokolwiek wychowaniu jest przeciwne lub nietyczące jego, nie podpada pod władzę rodziców. Z chwilą poczęcia dziecka, zaczyna się już jego wychowanie fizyczne. —

Szczególnie obowiązana jest o troskę nad dzieckiem matka, która w czasie ciąży musi wielce o siebie uważać. Po przyjściu na świat dziecka, troską najważniejszą rodziców powinno być jego ochrzczenie, przez które ich dziecko, staje się dzieckiem Bożym. Wychowując fizycznie i intelektualnie dziecko i zapewniając mu przyszłość, niech rodzice nie zapominają o rzeczy najważniejszej: o duszy dziecka. I niech powtarzają sobie często słowa:

Cóż pomoże naszemu dziecku, choćby cały świat posiadło, a na duszy swej szkodę poniosło?

Mirosław Sercański

Pobożność prawdziwa i fałszywa

II.

Na pociechę sobie i innych chcę opowiedzieć i o takich, których znałam lub znam prawdziwie pobożnych osobach pojmujących obowiązki chrześcijan katolików tak, jak Bóg tego wymaga.

Na pierwszym miejscu o pewnej dobrze mi znanej starszej osobie, która 3 lata temu poszła po wieczną nagrodę do Pana. Mogła przy konaniu spokojnie wyśpiewać: „Nunc dimittis". Całe życie pełne zasług. Sama biedna, raczej zubożała, bez przerwy pomagała innym potrzebującym. Przygarniała do siebie zarówno potrzebujących kąta, jak i pożywienia. Kilka biednych kleryków utrzymała aż do święceń dzieląc się z nimi kęsem chleba i co Bóg dał w czasie okupacji. Dwie dziewczynki z żydowskiej rodziny ukrywała. Uczyła je do chrztu świętego, potem starszą umieściła na wsi, młodszą trzymała przy sobie aż do końca okupacji i oddała w ręce powracającego ich ojca. Potem inne biedne chore dziewczynki sieroty również przygarnęła pomagając im przez swoich znajomych w nauce i uzyskaniu posady. Ach cóż ona nie potrafiła wykonać — to biedne chore, całymi latami w łóżku leżące, stworzenie, modląc się bezustannie i bez przerwy, pracując na wpół leżąc w łóżku! Nieraz byłam zdumioną i wzruszoną do łez. I uważam, że jak nadzwyczajnym było jej życie, tak nadzwyczajną drogą otrzymywała ona zawsze pomoc, aby innym dawać. A przy tym nigdy nie zniechęcona, zawsze pogodna, uśmiechnięta, nawet żarty jej się trzymały niekiedy, aby innych rozweselić. Nigdy przykrego słowa nie miała dla nikogo, gdy ktoś coś zawinił i ona o tym wiedziała, tylko słowa pełne miłości Chrystusowej. Siłę do tego czerpała w codziennej Komunii świętej, przynoszonej jej co rano. — A jaka święta radość napełniła to zacne serce, kiedy za szczególnym zezwoleniem odprawiła się u niej w drugim pokoju w czasie wielkich Świąt Msza św. Wszak ona biedactwo od kilku lat nie mogła już chodzić do kościoła, choć kościół po prostu na przeciw bramy domu się znajdował. — A jednak słuchała Mszy świętej, kazała okno otwierać, a wrażliwy jej słuch łączył ją ze Mszą św., która się odprawiała w kościele. Leżała wtedy cichutko cała zatopiona w modlitwie; z wyrazu jej twarzy można było poznać, że słuch jej tam przy ołtarzu. O tak! To była prawdziwie pobożna dusza, żyjąca Bogu na chwałę i czyniąca dobrze wokół siebie.

Druga jako przykład. Biedna stara praczka. Pracuje więcej niż młoda, bo zależy jej na zarobku. Po codziennej Mszy św. i Komunii świętej spieszy do pracy, pierze po domach. Patrząc na nią nikt nie dałby wiary jak ona potrafi pracować sumiennie, obowiązkowo, nigdy nie narzekając jeżeli się jej jeszcze coś dokłada do „kupki" brud-

nej bielizny, którą ona ma wyprać. Pracuje zawsze z uśmiechem i składa pieniądze na utrzymanie biednego kleryka w Seminarium duchownym. Wyobrażam sobie, z jakim zadowoleniem patrzy na nią Pan Jezus!

I jeszcze jedna pracownica. Tak samo pracuje jako praczka, ale jeszcze po nocach „dodatkowo" pierze i ledwie śpi kilka godzin, aby rano prędziutko iść na Mszę św. i do Komunii św. i znowu wraca do pracy, wszak ma na całkowitym utrzymaniu młodego człowieka, którego ojca zamordowali w Oświęcimiu, matka zaś umierając prosiła ją o opiekę nad dziećmi. I z tej ciężkiej pracy kształci owego młodego akademika, ubiera go, karmi. I Boży spokój rozlany na jej uśmiechniętej twarzy wymowniej niż słowa mówi o tym spokoju wewnętrznym, który daje Ten, którego Wolę spełnia. I ona kiedyś otrzyma wieniec chwały od Boga wiernego, który wyrzekł te pamiętne słowa: „Coście uczynili jednemu z tych moich najmniejszych, mnieście uczynili".

Od dłuższego czasu zauważyłam pewnego starszego robotnika, który codziennie przychodzi do kościoła do którego ja chodzę. Narzędzia robocze we woreczku kładzie pod ławkę, sam zawsze na gołej ziemi klęczy ze złożonymi po dziecięcemu rękami i modli się. Ale jak się modli! Widać to po jego oderwanym od otoczenia obliczu. Odchodząc zaś od Komunii św. głęboko schylony trwa w dziękczynieniu — potem szybko bierze swój woreczek i spieszy do pracy. Wielokrotnie musiałam już zapanować nad sobą, by nie dać folgę uczuciom powstającym, uklęknąć przy nim i ze czcią pocałować te spracowane ręce.

Znam jeszcze jednego tak wyraźnie głęboko pobożnego człowieka. Zawsze klęczy na uboczu — zapatrzony w ołtarz, gdzie się Najśw. Ofiara odprawia. Cichutko jako ostatni idzie do Stołu Pańskiego, a gdy wraca blask bije z tej twarzy, której trudno byłoby nie zauważyć. Podobno jest od wszystkich tak poważany, że jego zdanie aczkolwiek rzadko je wyraża i tylko na usilne naleganie kolegów, zawsze przeważa. Nie narzuca się, cicho i sumiennie pracuje, bo pracuje dla Boga, z myślą o Bogu, aby Jemu się przypodobać na wzór św. Józefa. Przeto nie trudno mu przychodzi innych swoim przykładem pociągać do prawdziwej pobożności.

Taka to jest pobożność prawdziwa! Modlitwa celnika, który siebie za nic ma, bo wie, że wszystko co ma dobrego od Boga pochodzi w przeciwstawieniu do modlitwy tylu faryzeuszów, którzy modlitwę swoją zaczynają od słów: „Dziękuję Ci Boże, że nie jestem takim, jak ten celnik".

Prawdziwa pobożność musi pochodzić od pokornego uznania, ja jestem niczym, nic dobrego ze siebie uczynić nie mogę. Bez łaski Bożej i bez współdziałania z nią — wyradza się tylko pyszałkowatość, która do upadku prowadzi. Trzeba pamiętać, że sam Pan Jezus powiedział do św. Katarzyny ze Sienny: „Ja jestem ten, który jest, a ty jesteś tą, która nie jest".

Gdybyśmy sobie te słowa wyryli w pamięci, dochodzilibyśmy prędzej do uznania własnej nicości a to uznanie doprowadziłoby do pokornej modlitwy celnika, tak miłej Bogu: „Boże bądź miłościw mnie grzesznemu". — A pokornej modlitwy Bóg nigdy nie odrzuca, słabego, mającego siebie tylko „za nic", dobry Bóg podnosi i wspiera go Ta, która pełna łaski wyrzekła: „Oto ja służebnica Pańska".

I. B.

Pełnia kultury

IV.

Wiele się mówi i pisze o kulturze człowieka, nie zawsze może jednak zdajemy sobie dosyć sprawę z tego, na czym ona właściwie polega. Ale na podstawie tego, cośmy w poprzednich numerach na ten temat pisali, można by już zarysować pewien dokładniejszy obraz zagadnienia. Sięgnąć przy tym musimy pamięcią do ostatniego zwłaszcza artykułu, w którym omawialiśmy różne dziedziny kultury. Było ich siedem. Każda z nich obejmuje jeden wycinek życia, wszystkie razem składają się na jego pełnię.

I oto rzecz dziwna! Gdy sięgnąć do dziejów przedhistorycznych lub raczej dla większej wygodności do życia współczesnych nam ludów prymitywnych w Afryce czy Australii widzimy, że ci tak bardzo przez nas nieraz za niższych uważani ludzie w gruncie rzeczy żyją bardziej pełnią swojej kultury niż my rzekomo tak wysoce kulturalni Europejczycy żyjemy pełnością naszej kultury.

Do tej pełni musimy jednak dążyć i starać się ją realizować, choć w odmienny sposób niż prymitywni ludzie. Różnica ta zaś rozgrywa się na polu ilości i jakości. Przyjmijmy dla lepszego zobrazowania tego zagadnienia następujące obliczenie. Weźmy dajmy na to, że u ludów prymitywnych każda z 7-miu dziedzin kultury obejmuje 10 punktów treści, razem więc cała ich kultura wyrażałaby się w 70-ciu punktach. Jest to ilość niewielka, łatwa do przyswojenia sobie w całej pełni. Dla naszej kultury przyjąć musimy oczywiście cyfry wielokroć większe, więc np. 7 × 1.000.000 = 7.000.000 punktów treści. Tego nikt z nas ogarnąć nie może, ale gdyby każdy żył treścią choćby tylko 1.000 punktów w każdej dziedzinie, wyniosłoby to cyfrę 7.000 punktów, co byłoby już oczywiście cyfrą bardzo dużą, ale też różnica między naszą kulturą, a kulturą człowieka prymitywnego musi być i jest olbrzymia. Lecz niestety daleko nam na ogół do tego, by osiągnąć owe domniemana 1.000 punktów w każdej dziedzinie. Osiągamy je wprawdzie czasem w jednej, drugiej, bliskiej naszym zainteresowaniom dziedzinie, ale resztę zupełnie nieraz zaniedbujemy! I nawet jeśli realizujemy w całości owe 7.000 punktów, to najczęściej bywa tak, że osiągamy je dzięki przerostom w owych bliskich dziedzinach, a przy zaniedbaniu innych. Dla większości ludzi ofiarą przy tym pada najczęściej dziedzina kultury naukowej, artystycznej i niestety... religijnej. Życie w takich warunkach jest wtedy zdeformowane, niepełne i mały człowieczek w puszczy afrykańskiej przerasta nas pod względem sprawiedliwego podziału swych przeżyć kulturowych.

To były różnice co do ilości. Pozostaje jeszcze kwestia jakości, tj. sposobu przeżywania kultury. I tu musimy stwierdzić, że człowiek prymitywny bije nas znowu o całą głowę. On bowiem, choć żyje tylko 70-ciu punktami, a może dlatego właśnie, przeżywa je jednak dogłębnie. A my?...

Powie ktoś jednak może: Nas nie stać na głębokie przeżywanie aż 7.000 punktów! Ale to pomyłka, wynikająca ze zbytniego przejęcia się tym cyfrowym obrazem, jaki tu dla ilustracji przytoczyłam. Pamiętajmy bowiem, że jak to

mówiliśmy już w poprzednim numerze, kultura stanowi całość nierozerwalną, a owych siedem dziedzin kultury — to jest tylko obstrakcyjna analiza przedmiotu. W rzeczywistości punkty w poszczególnych dziedzinach osiągać jest o wiele łatwiej niż się to poprzednio mogło zdawać.

Weźmy np. kulturę religijną. Czyż mało możemy w niej zdobyć punktów pracując w swym zawodzie uczciwie? Jeśli zaś zasady pracy rozmijają się z zasadami wiary, np. wskutek wyzysku gospodarczego, nierzetelności w towarze itp., to możemy uzyskiwać punkty w kulturze gospodarczej, a kultura religijna leży odłogiem. Ta sama praca może być też wykonana ładnie lub brzydko tj. wiązać się lub rozmijać z kulturą artystyczną.

I oto właśnie ów człowiek prymitywny w przedziwny sposób umie wiązać wszystkie dziedziny kultury, tj. przeżywa ją całościowo. Nie dzieli jej na osobne poletka. Inaczej z nami. Wielu z nas, gdy chce uprawiać kulturę artystyczną idzie po to specjalnie do teatru lub na koncert czy do muzeum obrazów. Kiedyindziej pracuje gospodarczo, a kiedyindziej się modli. Nad techniką zaś swej pracy niewielu się zastanawia. Odwala ją jak bądź. Precyzję wykończenia pozostawia.... specjalistom!

I oto dlatego nasza kultura osobista jest taka niepełna w porównaniu z kulturą osobistą ludzi prymitywnych. Ich praca była ściśle związana z obrzędami religijnymi, była stałym wysiłkiem, by ją doskonalić pod względem techniki. Narzędzia swe i domy stale zdobili. My zaś szufladkujemy nasze życie i żyjąc tylko w niektórych z tych szufladek, choć robimy rzekomo bardzo, bardzo dużo, ubożejemy duchowo. Żyjemy tylko skrawkami życia, a nie jego pełnią. I dlatego może w życiu naszym tyle jednostronności i tyle dysharmonii.

Pełnia kultury! Jak ją osiągać, realizować? Przede wszystkim nie przez pobijanie rekordów ilościowych, zwłaszcza w jednej jakiejś dziedzinie, choćby najpożyteczniejszej. Ale przez stałe łączenie, syntetyzowanie wartości z różnych dziedzin kultury. Spróbujmy zarysować program takiej działalności. Człowiek, który chce żyć pełnią kultury:

1) dba zawsze o osiągnięcie jak najwyższego poziomu technicznego w każdej swej pracy;

2) stara się być produktywnym członkiem gospodarki narodowej, a nie jej darmozjadem;

3) współżyje zgodnie ze swym otoczeniem i bierze czynny udział w życiu organizacyj i instytucyj społecznych;

4) wyraża się poprawnie w swym rodzimym języku i rozumie znaki i symbole z różnych dziedzin kultury;

5) pogłębia stale swą wiedzę ogólną
5) pogłębia stale swą wiedzę ogólną
i fachową;

6) rozumie i kocha piękno i albo sam je tworzy, jeśli ma po temu dane, albo zna twórczość artystyczną własnego narodu i kręgu kulturowego;

7) zna i rozumie zasady swej wiary, pracuje nad swym doskonaleniem nadprzyrodzonym, każdą swą czynność pełni w zgodzie ze swym religijnym światopoglądem, bierze udział w życiu religijnym swej parafii i Kościoła i w ten sposób oddaje całym swym życiem cześć Bogu, swemu Stwórcy, Odkupicielowi i Najwyższej Miłości.

Czy to za wielkie postulaty, jak na nasze możliwości? Chyba nie! Trzeba tylko stale wszystko ze sobą wiązać, wiązać. Unikać jednostronności. Wtedy żyć będziemy pełnią kultury.

Felicja Żurowska.

„...Maryjo"

Z cyklu rozważań nad Pozdrowieniem Anielskim

II

„A imię Panny Maryja..."

Jakimż imieniem pozdrowi Archanioł tę przebłogosławioną Dziewicę, którą Opatrzność użyła do przeprowadzenia swych wielkich zamiarów względem upadłej ludzkości, a teraz On do Niej sprawuje swe szczytne niebiańskie poselstwo?

Nic nam nie mówi o tem św. Łukasz, opisując scenę Zwiastowania i podając tekst tych niebiańskich pozdrowień; poprzestając na zwykłej sprawozdawczej notatce: „a imię panny, (do której posłan był Anioł) ... Maryja" (Łk. 1, 27).

Kościół św. jednak podejmując z ust Archanielskich te słowa pozdrowienia, by poprzez wieki całe mógł godnie uwielbiać, tymi niebiańskimi słowami Królowę nieba, zaraz na wstępie dodaje w Pozdrowieniu Anielskim to właśnie imię: Maryjo! .. Zdrowaś!... Bądź pozdrowiona Maryjo", by nie było żadnej wątpliwości do kogo się te słowa modlitwy odnoszą. Dlaczego zaś spośród tytułów z których pobożność chrześcijańska i szczera miłość synowska ku Maryi całą litanię złożyła to właśnie imię wybrał w Pozdrowieniu Anielskim?

Wiadomo, że ze wszystkich imion najmilsze, najczulsze i najpiękniejsze jest imię własne. To też w rodzinie wołamy się i nazywamy po imieniu; po imieniu kogoś nazwać, odważy się tylko szczery przyjaciel; po imieniu zwą się bracia i siostry w zakonie, który dla nich stanowi jedną, miłująca się wzajemnie rodzinę; po imieniu nazywamy też papieża, Ojca św, — Ojca tej wielkiej wspólnej rodziny chrześcijańskiej, jaką jest św. Kościół katolicki. Po imieniu też odważamy się nazwać Matkę Boga-Człowieka w tym rzewnym pozdrowieniu: Zdrowaś — Bądź pozdrowiona Maryjo!... Żydzi w Starym Testamencie lękali się nazwać Boga po imieniu: Jahwe, więc też dla bojaźni i wielkiego szacunku, albo je zupełnie opuszczali albo zastępowali ogólnikowo słowem: Pan. Czuli się bowiem przytłoczeni ogromem majestatu, potęgi i mocy Bożej, jaką to imię wyrażało. Jahwe — „Jam jest którym Jest" — tak nazwał się sam Pan Bóg z gorejącego krzaka w rozmowie z Mojżeszem. Pan Bóg objawiając nam w ten sposób swoje święte imię, wskazał równocześnie czym jest: Istotą Nieskończoną, bo istniejącą od siebie i przez siebie...

Widzimy zresztą, że w ogóle ilekroć Pan Bóg objawiał czy też nadawał lub zamieniał komu imiona, to zawsze wyrażał nimi treść i charakter posłannictwa danej osoby lub dzieła do którego ją powoływał

Czytamy w pierwszej księdze Mojżesza, że wybierając Abrama na ojca wybranego narodu nazwał go Abrahamem, Jakóba zwierzając mu podobną misję Izraelem ... w Nowym zaś Testamencie objawiając imię Syna swego wyrzekł przez Anioła te słowa: „I nazwiesz imię jego Jezus" (Mt. I, 21. Łk. I, 31) podając jednocześnie przyczynę i znaczenie tego imienia: „albowiem on zbawi lud swój od grzechów ich" (Mt. I, 21).

Podobnie jak mówi Tradycja, sam Bóg wybrał imię dla Matki Najświętszej, nazywając ją „Maria" czyli „morza" to „bezmiar", ponieważ zamknął w niej bezmiar łaski i cnoty, świętości i słodyczy, przez co Matka Najśw. stała się Ucieczką i Nadzieją naszą. Ale jednocześnie zamknął w niej bezmiar goryczy, bezmiar ofiary i cierpienia, przez co Matka Najśw jest nie tylko Matką Odkupiciela, ale stała się i Współodkupicielką naszą W tym przeto imieniu zawierają się wszelkie inne tytuły i chwalebne wezwania, — to imię jak mówi św. Bernard „jest ponad wszelkie imiona świętych". O jego chwale i potędze, a stąd i o prawdziwości słów Miodopłynnego Doktora świadczą przede wszystkim niezliczone wota w tysiącznych świątyniach Maryi Najświętszej, gdzie

znajdują się Jej cudowne obrazy i wizerunki; świadczą tłumy pielgrzymów, wędrujące do Jej cudownych miejsc, gdzie założyła sobie swe stolice łaski i miłosierdzia; świadczą liczne stowarzyszenia religijne i Zakony powstałe ku Jej czci i szczycące się Jej świętym imieniem; świadczą wreszcie liczne święta, wśród których nie brak i święta ku czci Jej Najświętszego Imienia, ustanowionego na dzień 12 września przez papieża Inocentego XI, na pamiątkę zwycięstwa odniesionego nad Turkami pod Wiedniem przez króla polskiego Jana III Sobieskiego właśnie za przyczyną Matki Najśw. w to święte wszechpotężne Jej Imię: Maryja.

O. Jan Chrzciciel k. b.

BARWY LITURGICZNE I LITURGIE

(Refleksja 19)

1.

Człowiek prawdziwie duchowo wyrobiony jest spokojny i zrównoważony. Nie oznacza to, że jest bezbarwny. Określenie kogoś, że jest jednostką bezbarwną, jest to uznanie go za miernotę bez charakteru, niezdolnego do głębszych przeżyć.

Gdyby ktoś zauważył, że jest właśnie takim bezbarwnym, to powinien sobie uświadomić, że jest to przeciw wymaganiom Kościoła.

Spokój i równowaga nie znaczą też jednobarwności. Było by to przeciw naturze ludzkiej i niegodne chrześcijanina, który, według słów św. Pawła Apostoła, powinien weselić się z wesołymi, a smucić się ze smutnymi.

Ludzie jednobarwni są naogół nieznośni skłonni do tyranizowania innych, uparci, skłonni do fanatyzmu i sekciarstwa.

Kościół przepisuje w swej liturgii 5 barw: biała, czerwona, zielona, fioletowa i czarna. Są one zasadniczymi nastrojami duszy i życia ludzkiego.

Każda z tych barw występuje w towarzystwie różnych kolorowych haftów. Nadają one szacie liturgicznej ton barwy, odpowiedniej do czasu i okoliczności. W tym właśnie jest dla nas wielka nauka życiowa: uważać na czas i okoliczności. A więc rozumieć i odczuwać innych; weselić się z wesołymi, a smucić się ze smutnymi. Jest to konieczny warunek, aby życie nasze było zgodne z cnotą roztropności, sprawiedliwości, umiarkowania, a nawet męstwa.

2.

Dostosowywanie się do innych nie może być kosztem wiecznych zasad życia. Spojrzę na Mszę św. Zasadnicze, istotne cechy Ofiary Mszy św. dał sam P. Jezus, ale Kościół dostosował je do życia w różny sposób. Są to właśnie różne liturgie naszej duszy, świadczące, że jesteśmy dla ludzi i że zasady są też dla ludzi, w tym sensie, że według wiecznych niezmiernych zasad mamy postępować z ludźmi, jednak według różnych liturgii.

Dlatego dobrze jest mieć w życiu jakąś jedną zasadniczą wielką Myśl-Ideę, na którejby się wspierały inne piękne, różnobarwne myśli, pragnienia i czyny naszego życia.

Ta wielka podstawowa Myśl nasza będzie, jakby rzymską liturgią, która zawsze miała i ma pierwszeństwo przed innymi liturgiami.

Myślą taką może być cnota, która mnie najbardziej pociąga, którą kocham i którą żyję według stopnia łaski, sił, zdolności, temperamentu — czyli według liturgii.

X. K. D.

CO TO SĄ ODPUSTY?

Słowo „odpust" w języku kościelnym znaczy tyle co darowanie, ulga, złagodzenie[1]). Odpowiada mu słowo łacińskie „indulgentia" co znaczy pobłażliwe obchodzenie się z człowiekiem, który zawinił.

Jako termin teologiczny odpust znaczy darowanie lub zmniejszenie kary doczesnej za grzechy już odpuszczone przez prawomocną władzę Kościoła.

Dla zrozumienia odpustu musimy się cofnąć do pierwszych wieków Kościoła. Przepisy kanoniczne Kościoła, tyczące sakramentu pokuty były wówczas bardziej surowe niż dzisiaj. Za większe grzechy połączone ze zgorszeniem, jak odstępstwo od wiary, cudzołóstwo po ich publicznym wyznaniu i rozgrzeszeniu naznaczano publiczną pokutę, jako zadośćuczynienie Bogu, naprawienie zgorszenia i odbycie kary doczesnej za grzech.

Już w drugim wieku zdarzały się wypadki, że na skutek szczerego żalu łagodzono grzesznikowi publiczną pokutę, szczególnie za wstawiennictwem chrześcijan, którzy byli męczeni za wiarę. Oni ofiarowali Bogu swe cierpienia jako zadośćuczynienie za grzeszników publicznie pokutujących.

W późniejszych wiekach zamieniano, lub zmniejszano pokutę kanoniczną na inne dobre uczynki np. pobożne pielgrzymki; odwiedzanie bazylik, lub inne akty miłości bliźniego.

Począwszy od wieku XI Kościół zaczyna udzielać prawdziwych odpustów, to znaczy darowuje całkowicie lub częściowo karę doczesną za grzechy, pod warunkiem spełnienia wyznaczonych uczynków, które jednak nie są proporcjonalne do kary. I tak np. wyprawy rycerzy chrześcijańskich w celu uwolnienia miejsc świętych z ręki niewiernych obdarowane były odpustem zupełnym, czyli całkowitym darowaniem kary doczesnej za grzechy uprzednio odpuszczone przez Sakrament pokuty lub żal doskonały.

Zapytać ktoś może, na jakiej podstawie, kościół udziela odpustu? Władza Kościoła tycząca udzielania odpustów wypływa z kilku prawd wiary katolickiej.

Skarbiec zasług, z których Kościół udziela, jest nigdy nie przebrany, ponieważ zadośćuczynienie Jezusa Chrystusa sprawiedliwości Boga, jest wartości nieskończonej. Do nich dołączyć należy zasługi Matki Bożej i innych świętych, którzy nie zgrzeszyli a dużo cierpieli i zasługiwali.

Te więc zasługi Kościół może innym rozdzielać, ponieważ święty Piotr i jego następcy papieże otrzymali od Chrystusa władzę kluczy czyli rozwiązywania i zawiązywania „Cokolwiek zwiążesz... cokolwiek rozwiążesz".

Wreszcie na mocy artykułu wiary o obcowaniu świętych zasługi obce mogą być nam udzielone.

Wszyscy bowiem święci w niebie i wierni na ziemi tworzą jedno ciało mistyczne Chrystusa i dobra ich są wspólne.

Kościół święty zawsze troszczy się o dobro dusz, hojny jest w udzielaniu odpustów. Widzi bowiem w tym wywyższenie Męki Chrystusa, upiększenie naszych dusz i przyspieszenie oglądania Boga przez dusze czyśćcowe. Odpusty bowiem można zyskiwać nie tylko za siebie, ale także za zmarłych. My tu obecnie na ziemi mamy możność pomagania duszom w czyśćcu, przez ofiarowanie Bogu naszych dobrych uczynków, za które Kościół udzielił odpustu zupełnego lub cząstkowego. Owszem, niekiedy Kościół wyraźnie mówi, że odpust udzielony można ofiarować tylko za dusze w czyśćcu cierpiące. W innych wy-

[1]) W mowie potocznej „odpust" znaczy często święto patrona Kościoła lub parafii. Pochodzi to stąd, że wierni w tym dniu w tym kościele mogą zyskać odpust zupełny.

padkach mamy do woli za żywych lub zmarłych.

Koniecznym warunkiem zyskania odpustu jest stan łaski w duszy. Bóg bowiem nie może darować kary za grzech jeśli jeszcze nie jest nam darowany sam grzech. Dlatego też, zwykłym warunkiem zyskania odpustu jest Spowiedź i Komunia św., służąca zyskaniu lub umocnieniu łaski. Oprócz tego należy spełnić dokładnie inne warunki, które Kościół przepisał.

Im większe obrzydzenie grzechu, tym lepiej jesteśmy przygotowani na zyskanie odpustu, zwłaszcza odpustu zupełnego. To samo odnosi się do odpustów cząstkowych. Gdy widzimy, że za daną modlitwę lub uczynek Kościół naznacza np. 300 dni odpustu nie znaczy to, że nam darowuje 300 dni w czyśćcu, tylko darowuje nam tyle kary doczesnej ile by było odpuszczone w pierwszych wiekach Kościoła przez 300 dni pokuty publicznej. Im jesteśmy lepiej usposobieni, tym więcej kary doczesnej będzie nam odpuszczone.

Często również spotykamy się z wyrażeniem: „toties quoties — ile razy, tyle razy". Znaczy to, że dany odpust, przy którym to napisane, możemy zyskać tyle razy, ile razy odmówimy daną modlitwę, czy wypełnimy przepisany uczynek. Te odpusty mogą być zarówno zupełne jak i cząstkowe.

O. Emil k. b.

NIEOCENIONA

Od świtu do zmroku krząta się, troska i narzeka. U niej w domu jest zawsze dwa razy tyle roboty, co we wszystkich innych domach. Do upadku sił miesi a ciasto, ale proszę patrzeć: to ciasto jest dwa razy wyższe, niż przewidział przepis. Ona zawsze pracuje, świadczy, wysila się, dwa razy więcej niż wszyscy najbardziej pracujący, tylko... tylko nikt nie chce na to zwrócić uwagi. Jej największą cnotą jest zdolność cierpienia. Zawsze to udowadnia, zawsze tym się popisuje. Ona zebrała największą ilość doświadczeń, tylko znowu nikt nie chce słuchać jej zbawiennych rad. Nikt nie chce dostrzec, że ona wycierpiała więcej, niż cała ludzkość razem wzięta. Boli ją, że nikt jej wyczynów nie docenia, i że nikt nie podziwia jej tak, jak na to zasługuje. Stąd też ten gorzki, smętny uśmieszek, stąd ten boleściwy głos. Wszyscy się sprzysięgli, aby zapoznać jej cnoty i zasługi, wszyscy ją ciągle upokarzają. Oczywiście czynią to rozmyślnie. Dozorca domu lekceważy ją, bo nie czyta jej gazet, tylko gazety tych tam z pierwszego piętra. Pani prezesowa lekceważy ją, bo na posiedzenie nie zaprosiła jej listownie, tylko ustnie. Władze lekceważą ją: przecież na wezwaniu podatkowym stało wyraźnie „pani" a nie „Wielmożna pani". Kupcy lekceważą ją, bo zawsze proponują jej towary najtańsze; znajomi, bo wczoraj wieczorem i bez niej bawili się zupełnie dobrze. A cóż dopiero jej mąż! On właściwie ponosi całą winę za to, że ją tak wszyscy lekceważą i nie doceniają. Nigdy w towarzystwie nie powiedział o niej dobrego, pochwalnego słowa; odnosił się do niej z roztargnieniem; nie widzi, nie chce widzieć, tych wszystkich ofiar, cierpień i wyrzeczeń, jakie ona ustawicznie na ołtarzu rodziny składa. Ale ona znosi to wszystko z szlachetną rezygnacją; już jest do tego przyzwyczajona; przecież nie doceniał jej nigdy nikt, a ona nie jest taka, żeby się o to upomnieć. Może kto inny, ale ona nie potrafi zwrócić na siebie uwagi, nie potrafi ukazać się w korzystnym świetle. Tak to bywa, gdy ktoś jest za skromny, za dobry, zanadto obowiązkowy, za mało wymagający. Taki jest los kobiety wyjątkowej, kobiety, jakiej drugiej niema, nie było i nie będzie.

Wyjęte z książki: „Adam i Ewa"
nap. H. Haluschka.

W SŁUŻBIE BOŻEJ

W wigilię Wszystkich Świętych 1949 roku, w Kielcach rozstała się z tym światem nieznana szerszemu ogółowi, skromna była urzędniczka inspektoriatu szkolnego w Mławie.



śp. Zofia Jaroszyńska. Jedna z cichych pracownic w winnicy Pańskiej. Należała do dusz, których piękno zajaśnieje pełnym blaskiem dopiero w Królestwie Bożym, gdzie życie mierzy się zupełnie inną miarą, aniżeli ta, której świat używa do oceny swych doczesnych wartości. Gdzie kartą wstępu na salę godową jest miłość ofiarna, wiara niezachwiana, pokorne służebnictwo Boże i ta dobroć serdeczna, głęboka, którą serce ludzkie z Bożej dobroci czerpie i dopóki żyje na ziemi rozsiewa ją pełnymi garściami w krąg siebie.

Te cechy święte, katolickie, te cnoty Boże najpiękniejsze, miłość gotową do wszelkich ofiar, ufność i wiarę żywą śp. Zofia Jaroszyńska posiadała w stopniu niezwykłym. Zapewne był to dar łaski. Wszystko co Boskie jest łaską, ale św. Paweł gdy pisze o darach, które otrzymał z łaski podkreśla swój wkład i współudział w jej osiąganiu i utrzymaniu. „Z łaski Bożej jestem tym czym jestem... ale więcej, niż oni wszyscy pracowałem". (I Kor. 15, 10).

W życiu Zofii działanie łaski występuje w sposób widoczny. Opromienia ono jej postawę duchową i kładzie odblask swój na całej jej ziemskiej doli. A dola ta była twarda i ciężka. Z natury czynna, żywa, uspołeczniona i towarzyska pracuje wśród katolickich organizacji młodzieżowych. Jej nazwisko znane jest setkom druhen z przedwojennej epoki zarówno w Mławie jak i w Katowicach,w serca których przykładem swoim i wiedzą wpajała cnotę wiernej służby Bogu i Ojczyźnie. Ale już wówczas, w młodzieńczych latach, wątły jej organizm staje się podatny dla różnych chorób, które będą ją nękać przez długie lata, aż wreszcie zgaszą przedwcześnie jej piękne i bohaterskie życie.

Podobno sprawdzianem najwyższych wartości duchowych człowieka, jest jego postawa w obliczu cierpienia i śmierci. „Albo cierpieć albo umrzeć" wołała wielka karmelitanka, św. Teresa. Bo cierpienie jest naturalną cechą wszelkich wyzwoleń. Bywa znakiem kary, ale częściej jeszcze staje się na tym padole łez symbolem wybrania. „Kto chce iść za mną, niech zaprze samego siebie i weźmie krzyż swój, a naśladuje mię" (Mat. 16, 24), mówił Zbawiciel, podnosząc cierpienie do godności najwyższej cnoty — krzyża, przez który jedynie dusza ludzka wyzwala się z ciasnych okowów materii, odnajdując samą siebie i Boga.

Śp. Zofię znałam od szeregu lat. Wzruszała mnie jej dobroć, jasność i pogoda ducha. Przez całe życie niestrudzona — pracowała dla drugich

— o sobie zapominając. Zapadała od czasu do czasu na szereg ciężkich chorób, z których złośliwa anemia, kilkatrotnie stawiała ją w obliczu śmierci. Później przyplątała się niedomoga serca, ale nawet wówczas, kiedy spuchnięte w nieprawdopodobny sposób nogi uniemożliwiały jej chodzenie, z trudem „ciągnęła je" do pobliskiego kościoła, by móc przyjąć Jezusa Eucharystycznego — Komunię św. — Życie jej męczeńskiego życia.

Opanowana i cierpliwa nie skarżyła się nigdy, a ból przyjmowała jako łaskę, której poddawała się bez szemrania i buntu tak często przejawiającego się w życiu cierpiących. Przygotowana na śmierć, snuła plany o życiu, ale gdy nagle poczęło ono gasnąć, przyjęła wyrok Boży ze spokojem, a w godzinie konania wpatrzona w krzyż zawieszony nad jej łóżkiem szeptała: „Jezu, jakiś Ty dobry".

Tych kilka słów o świetlanej duszy Zofii Jaroszyńskiej dyktuje mi nie tylko serdeczna przyjaźń jaką żywiłam do tej szlachetnej istoty. Lecz mam intencję jedyną i wyłączną — przedstawić typ katoliczki czynnej, żywej, realizującej w życiu swoim poprzez wierną służbę Bogu i bliźniemu ideał „służebnicy pańskiej".

W naszych, powojennych czasach, kiedy ciężkie warunki życia, wytwarzają typ człowieka samoluba, zdenerwowanego cierpiętnika i pesymisty — ludzie w rodzaju śp. Zofii, są wzorem katolickiego optymizmu, spokoju i równowagi.

Są głosicielami prawdy, iż życie niezależnie od jego doli czy niedoli, jest tylko materiałem, który nam Bóg daje, abyśmy zeń uszyli „szatę godową" prawo do nieśmiertelności i wiekuistego szczęścia.

Wówczas to, słowa Wielkiej Teresy o cierpieniu stają się filozofią mądrości, a prawo Chrystusowego krzyża, jedynym prawem do osiągnięcia Królestwa Bożego, pokoju i chwały.

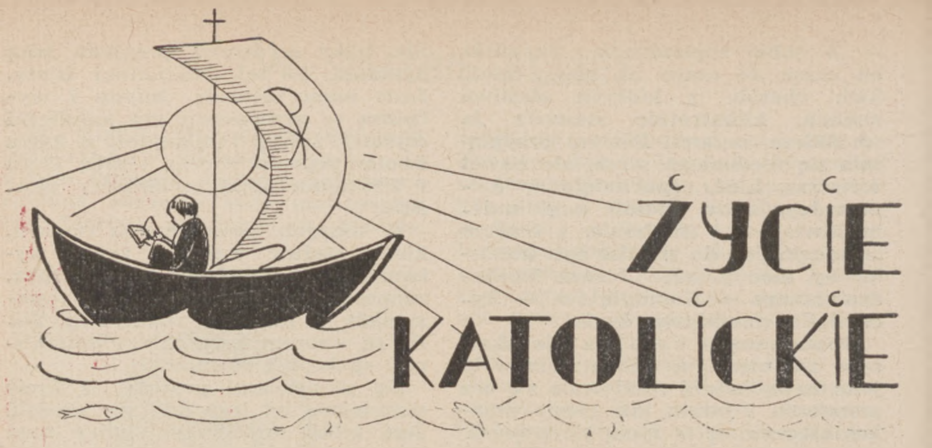
P.

Uśmiech

Kto w sercu swym pielęgnuje dobro i prawdę, kto wierzy w Opatrzność nad światem, temu życzliwy i przyjazny uśmiech towarzyszy w obcowaniu z ludźmi. Pracujmy ile możemy, by dobro na świecie zajęło miejsce zła, a resztę polećmy miłosierdziu Boga i nie traćmy pogody ducha, ni jasnego uśmiechu. Gdyśmy utrudzeni pracą, walką, bólem idźmy do Tego, który słodko zaprasza: „Pójdźcie do Mnie wszyscy, którzy spracowani i obciążeni jesteście". Tam najmilszy cień dla utrudzonego pielgrzyma.

Na każdym kroku możemy znaleść dowody dobroci, potęgi i mądrości Stwórcy wszechświata. Weź siostro, bracie pierwszy lepszy kwiat polny. Popatrz, zastanów się, ile w nim piękna i celowości! Spojrzyj w oczy niewinnego dziecka, zwróć wzrok na niebo zasiane gwiazdami, na te miliony i miliony światów! Takim pyłkiem, takim maleństwem jesteśmy wobec wszechświata, ale Stwórcę jego wolno nam nazywać Ojcem! Możemy spokojni i pogodni żyć tu do czasu, a obiecane mamy dziedzictwo w niebie. Świadomie czy nieświadomie szukamy szczęścia, bo ono ma być naszym udziałem. Świat na którym żyjemy jest piękny i dobry, tylko my, ludzie przesłaniamy wciąż to piękno rzeczami przykrymi. — Czemu tak skwapliwie dopatrujemy się zła u bliźnich? Czemu tak rzadko cieszymy się z ich powodzenia? Czemu tak prędko zapominamy cośmy dobrego od nich doznali? Czemu? — Oto — co niszczy pogodny i szczery uśmiech! Kto potrafi się szczerze radować radością i powodzeniem bliźnich, temu uśmiech pogodny zdobi oblicze, a ma on dziwną właściwość. Jak ciepłe i łagodne promienie słońca kwietniowego topią śniegi i lody, tak uśmiech pogodny i życzliwy topi nieufność i zawiść wśród ludzi i budzi uczucie braterstwa wśród utrudzonych życiem i pracą.

Cecylia Święch.



WATYKAN

* W niedzielę dnia 19 lutego miała miejsce w bazylice Watykańskiej podniosła uroczystość ogłoszenia Błogosławioną Marii Lopez y Vicuna. Przed południem odczytano uroczyście beatyfikacyjne Breve papieskie, po czym odśpiewano dziękczynne Te Deum. Po południu Ojciec św. udał się do bazyliki św. Piotra dla uczczenia nowej Błogosławionej. Na placu św. Piotra i w samej bazylice zebrały się tłumy wiernych. W bazylice na osobnym miejscu znajdowali się wszyscy uczestnicy Międzynarodowego Kongresu Prasy Katolickiej. W uroczystym hołdzie nowej Błogosławionej wzięli udział Purpuraci Rzymscy, ponad 30 arcybiskupów i biskupów, Przedstawiciele Rządów akredytowani przy Watykanie, liczne rzesze Hiszpanów, rodaków Błogosławionej, pielgrzymi innych krajów i licznie zebrani wierni Rzymu i okolicy. Po przybyciu Ojca św. do absydy bazyliki odbyło się Błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem, którego udzielił Ojciec św. i odśpiewanie hymnu do Nowej Błogosławionej „Jesu corona Virginum". W bazylice w czasie uroczystości rozdawano obrazki, przedstawiające Błogosławioną i jej życiorysy. Błogosławiona Maria Lopez y Vicuna urodziła się w r. 1847 w Nawarze w Hiszpanii. Odznaczała się wielką pobożnością i szlachetnością. Nie tylko sama trzymała się jak najlepiej, ale zapragnęła i innym do tego pomagać. Widziała wielkie niebezpieczeństwa stanu służebnego. Ażeby nieść tym zagrożonym dziewczynom pomoc, założyła Stowarzyszenie Córek Niepokalanej oddających się pracy służebnej. Nie zrażała się żadnymi trudnościami. Swym córkom duchownym świeciła we wszystkim przykładem własnego życia. Śmierć Założycielki była dla nich nie stratą, lecz zyskaniem sobie możnej Orędowniczki w niebie.

* Pod koniec lutego odbył się w Rzymie Międzynarodowy Kongres Katolickich Dziennikarzy. Pierwszą organizacją międzynarodową tego rodzaju było: „Międzynarodowe Biuro Katolickich Dziennikarzy" założone w Paryżu w r. 1926. Pierwszy Międzynarodowy Kongres przedstawicieli prasy katolickiej zwołano do Brukseli w r. 1930. Odbył się on w dniach 1 i 2 września. Zebrało się wówczas 238 wysłanników, reprezentujących niemal wszystkie kraje katolickie. — Kongresowi patronował kardynał Van Rey. Drugi Kongres przedstawicieli prasy katolickiej odbył się w Rzymie 1936 od 24 do 27 września. Omawiano na nim ważne zagadnienia z zakresu zadań i celów prasy katolickiej jakoteż urobieniu wewnętrznemu dziennikarzy. Brało w nim udział 240 uczestników, którzy reprezentowali 28 krajów.

Trzeci Kongres przedstawicieli prasy katolickiej projektowany był w r. 1938. Nie odbył się jednakże z powodu przeszkód natury politycznej.

Obecnie po wojnie zorganizowano trzeci Międzynarodowy Kongres Prasy Katolickiej, który z okazji Roku Jubileuszowego odbył się również w Rzymie. Wzięło w nim udział ok. 400 dziennikarzy i wydawców katolickich, reprezentujących 32 kraje. Tematem obrad była sprawa nowego statutu dla Międzynarodowego Zjednoczenia Prasy Katolickiej i ułatwienia pracy pisarskiej. Cały zespół odwiedził Ojca św., który wygłosił do uczestników Kongresu obszerne przemówienie, podkreślając w nim doniosłość zadań, jakie stoją przed prasą katolicką.

• III Kongres zakończył się w sobotę 18. II. Do zebranych przemawiał prezes Akcji Katolickiej na Włochy kardynał Adeodat Piazza. Przybył również na zebranie Premier Włoski de Gasperi. Przed rozjechaniem się wybrano stały Komitet Międzynarodowej Federacji Katolickich Dziennikarzy, prezesem został p. Delforge — Belg; ustanowiono również stałą Komisję Wydawniczą, której prezesem został obrany O. Gabel — Francuz.

Z NIWY MISYJNEJ

• Salezjanie obchodzą w tym roku 25-lecie swej pracy misyjnej na terenie Japonii. Dnia 8-go lutego Ksiądz Cimati z garstką młodych Salezjan udał się do Japonii i zaczął pracować na wyspie Kyusyu w Miyazaki. Praca początkowo szła opornie. Lecz niestrudzeni Salezjanie nie ustawali, ale obejmowali coraz szersze pole dla swej pracy apostolskiej.

INNE KRAJE EUROPY

• We Włoszech Północnych szerzy się tzw. Krucjata Różańcowa. Grupa misjonarzy zakonu Kaznodziejskiego głosi płomienne kazania o modlitwie różańcowej, zachęcając wiernych do gorliwego jej odmawiania. Kazania takie w Bolonii cieszyły się wielkim powodzeniem. Misjonarze ci zostali zaproszeni przez biskupów do innych diecezji, celem wygłoszenia podobnych kazań.

TREŚC NUMERU

„POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA"

MIESIĘCZNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

Za pozwoleniem Władzy Duchownej i Przełożonych Zakonnych.

L. 1627/50.

Książęco Metropolitalna Kuria w Krakowie.

Wydawnictwo OO. Karmelitów Bosych — Kraków, ul. Rakowicka 18. — P. K. O. Nr IV-842. — Tel. 554-48

Redaguje Kolegium.

Roczna prenumerata 440 zł.

Cena pojedynczego numeru 40 zł

M-1-16731 1391

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie